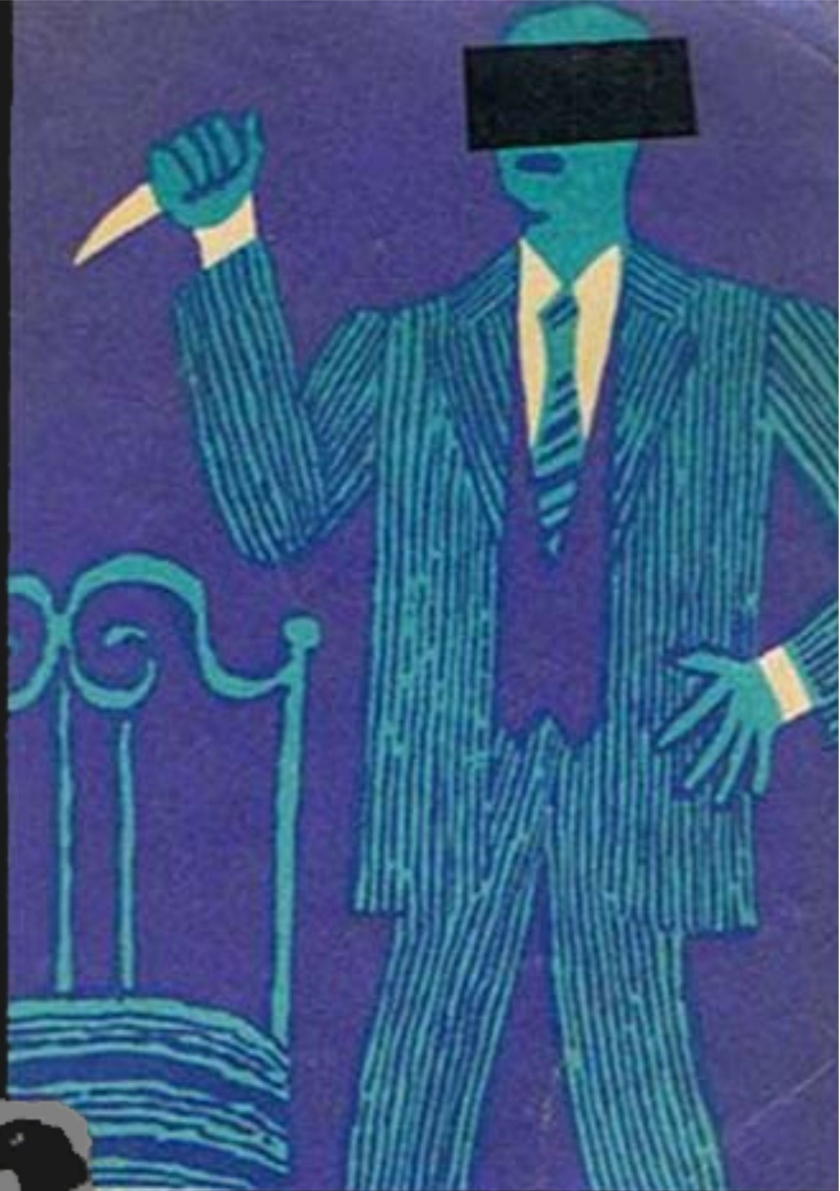


lesiojot



JAN ARTUR BERNARD

# NOC ROBIN HOODA

CZYTELNIK

JAN ARTUR BERNARD

NOC ROBIN HOODA



CZYTELNIK \* WARSZAWA \* 1970

Szklana ściana mieniła się błękitnymi ognikami słonecznych „zajaczków”. Na zewnątrz świat był pełen pogody i wiatru, połyskującego brzuskami topolowych liści.

Wolski obrzucił niechętnym spojrzeniem przezroczyste przegrody swojego boksu. Wstał, wyprostował się i rozejrzał po sali. Wnętrze obszernego szklanego kręgu było już puste. Pośrodku, na okrągłej, obitej skórą kanapie czekało dwóch ostatnich interesantów.

Wolski spojrział na zegarek, usiadł i jednym płynnym ruchem zagarnął leżące na biurku papiery. Stuk stempli, przybitych pod ostatnimi zapisanymi rubrykami, zabrzmiał jak salwa honorowa, obwieszczająca początek defilady.

W tym momencie od wejścia dobiegł głośny trzask. Wahałdłowe drzwi zadygotały, pchnięte gwałtownie przez tęgiego mężczyznę w białej koszulce polo i rdzawych, drelichowych spodniach. Przybysz zatrzymał się pośrodku sali, przebiegł niespokojnym wzrokiem szklane okienka, wreszcie, spostrzegłszy Wolskiego, ruszył zdecydowanym krokiem w jego stronę. Kiedy kasjer podniósł głowę, zobaczył tuż przed sobą pełną, opaloną twarz, po której ściekały krople potu.

- Bałem się, że nie zdążę... - przemówiła twarz.

Wolski zjeżył się wewnątrz, rozciągając równocześnie policzki w profesjonalnym uśmiechu. Ponownie zerknął ukradkiem na zegarek i serce zalała mu fala kojącego ciepła. Było półtorej minuty po dwunastej. Każde dziecko wie, że dobrze naoliwiona machina operacyjna dużego banku zamiera w soboty punkt dwunasta.

- Obawiam się - rozłożył ręce; w jego głosie brzmiała żałość, w której tylko niezmiernie czule ucho mogłoby pochwycić nutkę pewności siebie. - Obawiam się - powtórzył - że jednak pan nie zdążył, panie inżynierze... proszę spojrzeć -

wskazał okrągły, ścienny zegar z cyframi w kształcie złotych płomyczków.

- Jak to...? - mężczyzna nie wiedział, czy ma się obruszyć, czy spróbować obrócić to, co usłyszał, w żart. Na wszelki wypadek powiedział pojednawczym tonem:

- Panie Wolski, ja wiem, że pan nie odmówi staremu klientowi... Chodzi o małą wypłatę. Wyjeżdżam dzisiaj do Zakopanego... - Mężczyzna nazwany przez Wolskiego inżynierem położył na kontuarze książeczkę czekową i wyjął pióro.

Uśmiech zniknął z twarzy kasjera. - Niestety - powiedział tonem, nie pozwalającym żywić złudzeń co do dalszych losów sprawy - proszę mi wierzyć, że chętnie poszedłbym panu na rękę, ale zamknęliśmy już bilans dzienny. Nawet gdybym przyjął ten czek, dzisiaj nie da się go już zrealizować.

Za szybko pojawiła się chusteczka. Mężczyzna desperackim gestem otarł twarz z potu.

- Na miłość boską, panie Wolski - tym razem była to już rozpaczliwa prośba - dzisiaj wyjeżdżam. Tam, w Zakopanem, trafia mi się bajeczna okazja. Jeżeli nie dacie mi pieniędzy, to klops. Ostatecznie, to przecież moje własne pieniądze. Znamy się tyle lat, panie Wolski... - inżynier rozejrzał się nerwowo i ściszył głos - ja się panu zrewanżuję... na pewno da się to jakoś zrobić...

Wolski wznosił ręce, jakby odpychając wizję Ewy, potrząsającej jabłkiem.

- Zapewniam pana - rzekł miękko - że nawet dyrektor banku nie mógłby panu tego teraz załatwić. Dzień jest zamknięty. Sobota...

- No, to leżę... - z twarzy inżyniera wyczierała tak szczerą boleść, że Wolski mimo woli spojrział na niego ze współczuciem.

- Chyba, że... - zaczął niepewnie. Oczy za szybko rozbłysły.

- Musi pan jechać dzisiaj? - wycofywał się kasjer. - W ponie-

działek załatwię to panu w ciągu pięciu minut...

Mężczyzna przełknął ślinę. W jego głosie zabrzmiało gorzkie rozczarowanie.

- Skąd, panie... - powiedział niechętnie. - Facet jest z Zachodu. Będzie w Zakopanem wszystkiego dwa dni - machnął ręką - co tam dwa dni! Wystarczy godzina i ktoś mi go zdmuchnie. Taka gratka!

- O jaką sumę chodzi?

- Powiedzmy, dwieście tysięcy...

- Przecież pan wie, że takie wypłaty trzeba awizować.

- Myślałem, że zechce pan to dla mnie zrobić... jeśli chodzi o moje konto... nigdy nie mieliście ze mną kłopotów.

- Powiedzmy, że to mógłbym jakoś załatwić. Chociaż... - zawiesił głos. - Ale dopiero w poniedziałek rano.

- To na nic. W poniedziałek nie będzie już po co jechać...

Kasjer zamyślił się. Po chwili spytał:

- Nie ma pan pełnomocnika?

- Nie - inżynier ożywił się nagle - a gdybym teraz załatwił upoważnienie? W poniedziałek pan wypłaciłby pieniądze, a ten ktoś przesłałby mi je pocztą, telegraficznie? Do poniedziałku jakoś przetrzymam tego faceta, jeżeli będę na miejscu...

Wolski pokręcił przecząco głową.

- Pełnomocnictwo musi przejść przez biuro naszego radcy prawnego... dzisiaj już nie urzędują...

- Panie Wolski - mężczyzna rozplaszczyl się na kontuarze, wciskając twarz w okienko. - Niech mi pan nie odmawia. Ja panu wystawię pełnomocnictwo. W poniedziałek potwierdzi je pan po znajomości u waszego prawnika i podejmie pieniądze. Musi pan to dla mnie zrobić. Poczta jest na sąsiednim rogu. Uratuje mnie pan. Ja naprawdę umiem się rewanżować...

## 1.

- Leje bez przerwy - mruknął Bula. - Masz zapalki? - oderwał się wreszcie od okna i podszedł do biurka. Młody brunet w mundurze sierżanta milicji sprawiał wrażenie pochłoniętego bez reszty treścią leżącej przed nim kartki papieru.

- Zapalki... - powtórzył nieprzytomnie - Tak jest - zreflektował się szybko, uderzając rękami po kieszeniach. - Niestety...

Bula pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: tak, to jest właśnie to, czego się spodziewałem, przeszedł za biurko, odsunął Czernika i wyjął z szuflady pudełko zapalek.

Wskazując leżącą na biurku kartkę rzucił obojętnie:

- Uczysz się tego na pamięć?

Nie wróżyło to nic dobrego. Sierżant wyprostował się szybko i spojrzał na przełożonego. Bula zapalił spokojnie giewonta, zaciągnął się głęboko i wrócił pod okno.

Ulica, trawnik przed gmachem komendy, smukła, częściowo już ogołocona z liści topola - wszystko to było czarne, przesycone wilgocią. Wiatr rozpryskiwał na szybach drobne, gęste krople.

- No? - odezwał się nagle Bula, pozornie pochłonięty całkowicie listopadowym krajobrazem miasta.

- To wygląda na kobietę... - powiedział niepewnie Czernik.

- Uhm...

- Któryś z nich naraził się jakiejś babce. Może własnej żonie... W takich środowiskach - podkreślił odpowiednim gestem swój stosunek do „takich środowisk”. Kapitan Bula odwrócił się i spojrzał na niego z życzliwym zainteresowaniem.

- No? Śmiało, synu...

- To mogła także napisać jakaś współpracowniczka. Przypuśćmy, że nabrała jednego z tych gości. Albo nawet wszystkich.

Mogła na przykład przeprowadzić jakąś transakcję za ich plecami, angażując wspólne kapitały. Faceci przyłapali ją na tym i przyparli do muru. No, więc postanowiła sprowadzić im na kark milicję. Pomyślała, że kiedy się nimi zajmiemy, dadzą jej spokój. Przynajmniej na jakiś czas...

- To wszystko? - w głosie Buli zabrzmiała jakaś dźwięczna nuta, która bardzo nie spodobała się sierżantowi.

- Może jeszcze... - zaczął z wahaniem i urwał.

Kapitan podszedł do biurka i ponownie przebiegł wzrokiem anonim. List był pisany na maszynie, z dużymi odstępami i licznymi poprawkami w tekście.

*W pensjonacie „Janina” w Śląskiej Osadzie - pisał autor donosu - spotka się wieczorem jedenastego listopada trzech mężczyzn. Będą to: a) Adam Kmita, producent kosmetyków, właściciel firmy „Laura”, od szeregu lat oszukujący wydziały finansowe, ponadto spekulujący uzyskiwanymi z przydziału surowcami, używanymi rzekomo do wyrobu specyfików, b) Zdzisław Żuławski, podający się za inżyniera mechanika, pośrednik, zajmujący się okradaniem obcokrajowców, nadto handlujący dewizami i towarami z przemytu, c) Paweł Drożny, posiadający w Katowicach warsztat naprawy wiecznych piór, od siedmiu lat sprzedający sporządzane przez siebie wkłady do długopisów, napełnione bezwartościową substancją, jako zagraniczne.*

*Piszę to to przekonaniu, że na miejscu spotkania powinien się zjawić jeszcze ktoś czwarty - ktoś z Was. Ten doborowy garnitur przygotowuje bowiem wspólnie nowy skok - znacznie poważniejszy od wszystkich dotychczasowych. Posłuchajcie mojej rady, ci ludzie nie zasługują na żadne względy.*

*Robin Hood*

- Tak... - Bula wyprostował się i spojrział na Czernika, nie kryjąc już niezrozumiałego - tak przynajmniej orzekł w duchu jego podwładny - rozbawienia.

- Mówisz, synu - zaczął powoli - że postanowiła sprowadzić im na kark milicję... no, no... - zdusił starannie papierosa i zaczął chodzić po pokoju. W pewnym momencie zatrzymał się obok biurka i uderzył wierzchem dłoni w rozpostartą kartkę papieru listowego.

- Robin Hood radził sobie zupełnie inaczej - mruknął. - Obawiam się... - nie skończył. Pomedytowawszy chwilę, podjął przerwana wędrówkę po pokoju. Za każdym razem, kiedy przechodził obok sierżanta, ten prostował się odruchowo. Nie darmo kapitan Bula cieszył się w komendzie opinią „cholernej piły”. Przyjaciele nazywali go po prostu „piłą”. Gdyby ktoś powiedział Czernikowi, że jego szef rozmyśla teraz o historii Anglii, o swoim dziesięcioletnim synu oraz o wielu ciekawych rzeczach, które można by chłopcu opowiedzieć, gdyby nie ten przeklęty brak czasu - sierżant odpowiedziałby niechybnie zakreśleniem na czole wyzywającego kółeczka. Pracował z Bulą dopiero od czterech miesięcy i był od niego młodszy o trzynaście lat. Inna rzecz, że dla ogromnej większości starszych kolegów z Wydziału Dochodzeniowego kapitan pozostawał również postacią nieco mglistą, uważano go za coś pośredniego między Asmodeuszem, zagląającym pod dachy domów, a szarlatanem. Oczywiście, jeżeli szarlatanerią dało się nazwać metody śledcze polegające pozornie głównie na intuicji i używaniu jak .najmniejszej ilości słów.

Najwyżej dwie, może trzy osoby z grona najbliższych współpracowników Buli przyjęłyby jako rzecz naturalną, że ordynarny donos skierował jego myśli ku staroangielskim balladom i bandzie dzielnych zabijaków, gromiących na rzecz biedoty zamki i klasztory w hrabstwach York i Nottingham.

- Robin Hood - odezwał się nagle z przekąsem, przystając przed Czernikiem. - O ile wiem, synu - mówił, patrząc



obojętnie przed siebie - Robin Hood nie był kobietą...

- Przecież podpis... - sierżant spojrział na niego ze zdziwieniem.

Bula skrzywił się niemiłosiernie. - Będziemy tam, sierżancie - rzucił sucho.

- Tak jest!

- Idź teraz do kartoteki i zobacz, co o nich wiemy...

- Tak jest - powtórzył Czernik. Wziął anonim, złożył go starannie i schował do kieszeni. Już przy drzwiach zatrzymał go głos kapitana:

- Jutro posiedzisz w komendzie. Ja sam tam pojedę...

Sierżant usiadł przy biurku, zaświecił lampkę i przesunął abażur, chroniąc twarz w cieniu. Pośrodku jasnej plamy leżał zielony notes. Po raz któryś z rzędu przerzucił zapisane drobnym pismem kartki. - Rzeczywiście, niewiele tego – mruknął. Po tym, co usłyszał od Buli, był właściwie zadowolony, że kapitan zdecydował się sam skorzystać z anonimowego „zaproszenia” do Osady. Gdzieś na dnie serca brzęczała jednak nutka żalu do przełożonego. Ostatecznie, sprawa była niezwykła. Jeżeli autorowi listu naprawdę chodziło o coś więcej niż zwykły donos czy po prostu kawał...

Wyjął z szuflady czystą kartkę papieru i napisał na niej trzy nazwiska, jedno pod drugim. Koło Kmity skreślił: notowany. Wczoraj odszukał w kartotece notatkę o ukaraniu kierowcy pewnego przedsiębiorstwa, który państwowym wozem woził „fuchę” na zlecenie Kmity. Obok nazwiska Żuławski zrobił kółeczko. Ten z kolei - jak poinformował dzielnicowy - był widywany w towarzystwie „Baronowej”, czyli Marty Z., osoby dobrze znanej milicji, trudniącej się głównie handlem dewizami. I to byłoby wszystko. Oczywiście, jeśli zajdzie potrzeba, zbierze się dokładniejsze informacje. Na razie nic nie uzasadniało przypuszczenia, że za tym anonimem kryje się

coś więcej niż zwykła zawiść czy złośliwość.

Po chwili namysłu podkreślił nazwiska mężczyzn wymienionych przez autora listu i dopisał pod spodem: Stefan Bula. Skąd to natrętne uczucie, obwieszczające obecność ważnego śladu? Stefan Bula... Czernik umiał docenić znaczenie faktu, że kapitan potraktował poważnie anonimowe wezwanie. Dlatego właśnie ulga, z jaką przyjął decyzję przełożonego, nie była pozbawiona uczucia żalu. Jeżeli sprawa okaże się prawdę interesującą, wtedy on, Czernik... Tak, ale gdyby Bula jemu zlecił ten wyjazd, można by mieć pewność, że chodzi o tuzinkową intryżkę, jedną z tych, jakie codziennie rozgrywały się w światku, do którego należała opisana przez „Robin Hooda” trójka.

Czernik westchnął, wyprostował plecy i zniecierpliwionym gestem odsunął od siebie notes. Trudno będzie zarobić na awans u boku tego Bula. Chociaż...

Zadzwoił telefon. Dyżurny pytał, kogo posłać na Wiśniową. Zameldowano o włamaniu do mieszkania... Czernik machinalnie notował adres, nazwisko... Nagle drgnął.

- Żuławska?

Głos w telefonie powtórzył nazwisko, pytając, o co chodzi.

- Chwileczkę - rzucił sierżant. Szybko wertował kartki w notesie. Zgadza się. Zdzisław Żuławski, Wiśniowa 61.

Zbieg okoliczności? Rzucił okiem na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Jeżeli Żuławski rzeczywiście ma się z kimś spotkać wieczorem w Osadzie, to musi już być w drodze.

Po plecach Czernika przebiegł orzeźwiający dreszczyk emocji.

- Powiedzcie Jodłowskiemu, żeby przejął dyżur - powiedział oficjalnym tonem. - Jadę na Wiśniową.

## 2.

- Do diabła - mruknął.

- Proszę?

- Jestem z milicji. Pani nas wzywała? - powiedział niezwykle szybko, wymyślając sobie w duchu od smarkaczy.

- Niech pan wejdzie - przepuściła Czernika i za mknęła drzwi. Stawiając stopę na grubym, mięsistym chodniku, z trudem opanował paniczną chęć przytrzymania się ręką ściany.

- Byłam bardzo zdenerwowana, w pierwszej chwili wydawało mi się, że całe mieszkanie zostało doszczętnie ograbione... - w głosie gospodyni pobrzękiwały niskie nutki, półdźwięczne, półmrukliwe.

Sierżant zatrzymał się w przedpokoju i wodził spłoszonym wzrokiem po ścianach, ozdobionych cepeliowskimi wycinankami, oprawionymi w surowe, jasne drewno.

- Proszę - Żuławska otworzyła drzwi obszernego pokoju, zakończonego półokrągłą, oszkloną werandą. - To jest gabinet mojego męża. To było tutaj...

- Tylko tutaj? To znaczy - zreflektował się - splądrowali wyłącznie pokój męża?

- Tak. Poza gabinetem mieszkanie jest w idealnym porządku.

- Co zginęło? - spytał odrobinę przytomniejszym głosem.

- Jeszcze nie wiem - Żuławska wzruszyła ramionami. - Mąż wyjechał służbowo... to znaczy w interesach - a ja nie jestem zorientowana, czy miał tutaj pieniądze względnie jakieś wartościowe rzeczy...

Dokoła okrągłego stołu, pośrodku pokoju, widniały szerokie, obite skórą fotele. Naprzeciw biurka, wciśniętego skosem w półkole „zimowego ogrodu”, stała również klubowa kanapa. Uwagę Czernika przykuła płaska kasa pancerna koło biurka.

Była otwarta. Na podłodze bielila się porzucona w nieładzie sterta papierów. Szuflady biurka były wysunięte, jedna z nich, przewrócona do góry dnem, leżała obok sejfu. Jej wytrząśniętą w pośpiechu zawartość stanowiły przeróżne notatki, formularze, spięte pliczki kwitów i rachunków. Część papierów zsunęła się na puszysty, kolorowy dywan.

- Czy pani dotykała tutaj czegoś po przyjsciu do domu?

- Widziałam kiedyś w kasie zwitek dolarów. Chciałam sprawdzić, czy są tam jeszcze... wie pan, w pierwszym odruchu...

Sierżant skinął głową. - No i co?

- Nie ma. Ale równie dobrze mógł je zabrać mój mąż...

- Można? - Czernik wskazał stojący na biurku telefon i nie czekając na odpowiedź podniósł słuchawkę.

Upewniwszy się, że ekipa techniczna przyjedzie za kilka minut, zdjął czapkę, wyjął notes i usiadł w fotelu.

- Kiedy pani wyszła dzisiaj z domu? - uniósł wreszcie głowę, starając się przystroić twarz w wyraz służbowej ascezy, spotykany na niektórych rzymskich posągach.

Trzeba obiektywnie przyznać, że nawet kapitan Bula, gdyby jakimś cudem dowiedział się o nieregularnych unikach Czernika, byłby w stanie, przynajmniej w duchu, rozgrzeszyć swojego młodszego asystenta. Żuławska była kobietą... krótko mówiąc, piękną. Miała długie, połyskujące miodowo włosy, ułożone „na pazia”, duże, czarne oczy, których skośne kąciki strzelały ku górze, śniadą cerę i pełne, nie tknięte szminką usta. Prosta, granatowa sukienka podkreślała doskonale linie piersi i bioder. Z całej kobiecej sylwetki emanowała sprężysta miękkość, prowadząca natrętne wizje...

Czernik, który nastawił się na spotkanie z grubą, upierścienioną i woniejącą perfumami babą - tak jego zdaniem powinna wyglądać żona takiego Żuławskiego - przeżył w pierwszym momencie prawdziwe trzęsienie ziemi.

- Około dziesiątej - odpowiedziała, lokując się w fotelu naprzeciwko.

- A mąż? - przemknął spojrzeniem po parze smukłych nóg, od modnych, błyszczących pantofli, do krótkiej sukienki, i skwapliwie zajął się swoim notesem.

- Wyszedł przed ósmą. Wróci późnym wieczorem... albo jutro.

- Dokąd pojechał?

- Nie wiem.

Czernik przyjął tę bądź co bądź lakoniczną odpowiedź z pozorną obojętnością.

- Państwo mieszkacie sami? - spytał po chwili.

- Tak.

- A więc od dziesiątej rano dom był pusty - skonstatował.

- O której pani wróciła?

- Mniej więcej - zerknęła na zegarek - czterdzieści minut temu.

Czernik wyprostował się powoli. Włamywacz miał przeszło osiem godzin czasu... Trzeba będzie, oczywiście, wypytać sąsiadów, dozorcę... Spojrzał odruchowo w okno i zasępił się. Poprzez odbłask matowych żarówek, oświetlających pokój, dostrzegł spływające po szybach krople deszczu. Przy takiej pogodzie można z pustej willi wywieźć wszystkie meble, nie zwracając niczyjej uwagi. Rozpiął płaszcz i poprawił się w fotelu.

Ekipa techniczna kończyła swoje stereotypowe misteria. Jak było do przewidzenia, złodziej czy też złodzieje nie zostawili żadnych śladów ani odcisków. Jediną rzeczą, która ewentualnie mogłaby mieć jakieś znaczenie, był skrawek grubego, kopiowego papieru, z drukowanymi literami „wyc...”, stanowiącymi najwyraźniej początek tekstu. Papier sprawiał wrażenie rozdartego w pośpiechu i mimo drobiazgowych poszukiwań nie udało się znaleźć innych strzępów tej kartki.

Miody technik, opuszczając mieszkanie, mrugnął porozumiewawczo do Czernika, wskazując Żuławską. Jego pięść wzniosła się w geście cesarów, demonstrując odgięty w górę kciuk.

- Muszę pani zadać jeszcze kilka pytań - powiedział sierzant, zostawszy sam na sam z piękną gospodynią.

- Proszę... - uśmiechnęła się, wracając na swoje miejsce w fotelu.

- Jak spędziła pani dzisiejszy dzień?

- Rano poszłam do kosmetyczki, potem byłam na obiedzie u siostry, a po południu w kawiarni...

- Sama czy w towarzystwie?

- U kosmetyczki? Te rzeczy kobiety załatwiają samotnie. Obiad jadłam z siostrą i jej mężem... nazywają się Nowakowie, mieszkają na Francuskiej. Potem zadzwonili znajomi i umówiliśmy się z nimi w Café Sport. Ostatni stolik po lewej stronie, na tarasie... - uśmiechnęła się znowu. - Podejrzewa pan, że to ja włamałam się do biurka mojego męża...?

- W takich okolicznościach funkcjonariusze milicji mówią zwykle: „przepraszam, ale teraz ja zadaję pytania”... - Tylko czułe ucho kapitana Buli mogłoby pochwycić w głosie Czernika nutkę nieco zbyt ostentacyjnej pewności siebie...

- Prosto z kawiarni wróciła pani do domu? - spytał po chwili.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Czy ktoś panią odprowadzał?

- Zwykle mnie ktoś odprowadza. Nie uważa pan, że to naturalne?

Czernik poczuł, że się rumieni. Przełknął ślinę i powiedział poważnie: - Owszem.

Żuławska wybuchnęła śmiechem. Śmiała się głośno, swobodnie, bez cienia ironii. - Przepraszam pana - wykrztusiła. - Zachowuję się okropnie. Ale pan to tak śmiesznie powiedział...

- Nie szkodzi - burknął. Zrobiło mu się przykro.

Babka żyje w innym świecie. Zimą Zakopane, latem wycieczki „Orbisu”, bridże, dansingi, drogie samochody... „Dolce vita” - pomyślał ze złością. Za pieniądze takiego Żuławskiego. Musi wiedzieć, jak on je robi...

- Czy ten ktoś, kto panią odprowadzał, wszedł także do domu?

- Pożegnaliśmy się na dole. Łało jak z cebra, nie wysiadali w ogóle z samochodu.

- Drzwi wejściowe były zamknięte?

- Otwarte. Dlatego od razu zrozumiałam, co się stało.

- Co pani zrobiła po wejściu do domu?

- Przede wszystkim zamknęłam za sobą drzwi...

Spojrzał na nią uważniej. Teraz, kiedy ochłonął, zaczynał dostrzegać inne cechy gospodyni, nie mniej interesujące niż jej niezwykła uroda. Opanowanie. Jak na kobietę, którą tylko co ograbiono bądź usiłowano ograbić, jej dobry humor był odrobinę za dobry. Poza tym chłodna, chciałoby się powiedzieć: przemyślana rzeczowość, z jaką odpowiadała na jego pytania. Chociażby taki drobiazg - zamknięcie drzwi. Któraż z kobiet, relacjonując swoje czynności po przyjeździe do okradzionego mieszkania, zaczęłaby od tego odruchowego gestu.

- Potem - ciągnęła Żuławska - weszłam do gabinetu męża. Sprawdziłam, czy kogoś nie ma, zajrzałam do innych pokoi, do kuchni, łazienki, wróciłam tutaj i zadzwoniłam na milicję.

- Czy ktoś mógł w tym czasie wyjść z mieszkania tak, żeby pani tego nie zauważyła?

- Nie. Drzwi do przedpokoju zostawiłam otwarte. Wykluczone.

Czernik podumał chwilę, następnie zamknął notes i wstał.

- No cóż - powiedział, zapinając płaszcz. - Skoro nie zna pani adresu męża, to dzisiaj już nic nie zrobimy. Przyjdę jutro rano. Proszę mu powiedzieć, żeby czekał w domu. Gdybyście się państwo zorientowali, że zginęło coś wartościowego, pro-

szą nas natychmiast zawiadomić.

W tym momencie zadzwonił telefon. Żuławska odwróciła się i podeszła do biurka. Sierżant odprowadził ją wzrokiem.

- To do pana.

- Do mnie? - niezgrabnym ruchem odebrał od niej słuchawkę. Jego głowa znalazła się tuż nad jej ramieniem. Uderzył go zapach jej włosów.

- Tak, to ja... - powiedział ochrypłym głosem, ni w pięć ni w dziewięć. Zdał sobie sprawę z niestosowności takiej prezentacji, jeszcze zanim rozpoznał głos kapitana Buli.



### 3.

- „Janina”? - dosłyszała wreszcie poprzez szum wiatru i falujący plusk «lewy. - Tu zaraz, w lewo, pod górę. Trzeci dom za rogiem.

- Dziękuję - burknął. Odwrócił się, wyciągnięty jak struna, unikając dotknięcia sztywnego, przemoczonego kołnierza.

Po kilku minutach stanął przed uchyloną metalową furtką. Mrużąc powieki, usiłował odgadnąć zarysy domu w głębi zarośniętego ogrodu. Budynek był pogrążony w ciemności. Jaśniało tylko jedno okno na parterze. Otworzył powoli furtkę i odruchowo zwolnił, kiedy pod jego nogami zachrzęścił mokry żwir. Doszedł tak do końca alejki i przystanął pod bramą, do której wiodło pięć kamiennych schodków. Spojrzał w górę i odczytał z trudem napis na półokrągłej tablicy: „Willa Janina”. Stał chwilę, następnie rozejrzał się i ruszył wzdłuż ściany w stronę oświetlonego okna. Ostrożnie zbliżył twarz do szyby i zajrzał przez szparę między framugą a białą, płócienną firanką.

Pierwszym przedmiotem, na który padł jego wzrok, był aparat radiowy. Stał pod przeciwległą ścianą na wysokim stoliku, z którego zwisała koronkowa serweta. Bliżej, na środku pokoju, znajdował się stół, otoczony krzesłami.

Kątem oka zauważył nagle jakiś ruch w niewidocznym zakątku za radiem. Wykręcił głowę, dotykając niemal policzkiem mokrej szyby. Dostrzegł parę kobiecych nóg, następnie całą postać ich właścicielki, skuloną na szerokim tapczanie. Kobieta opierała się na łokciu, obok niej leżała zamknięta książka. Nic nie wskazywało na obecność kogokolwiek poza nią w tym cichym, ciemnym domu. Mężczyzna odprężył się, najwidoczniej, uspokojony takim obrazem jesiennej samotności, jakby wyjętym z tekstu do starego tanga. Cofnął głowę i pewien, że deszcz głuzy jego kroki, śmieiej już ruszył dalej,

stale trzymając się ściany. Zaraz za węglem natknął się na drewniane stopnie, prowadzące do niedużej, oszklonej werandy. Wszedł na pierwszy schodek i sięgnął do klamki. Drzwi były zamknięte. Nagle zamarł. Poprzez szum wiatru i plusk spływającej z okapów wody dobiega go wyraźny odgłos kroków, więc ostrożnie wyjrzał zza węgła. Ciemna sylwetka mężczyzny w kapeluszu zbliżała się powoli do głównego wejścia. Przez chwilę nieznamy znalazł się w smudze światła, padającego z okna. Odbiło się błękitnym refleksem od mokrego, dederonowego płaszcza. Przybysz zatrzymał się i stał chwilę bez ruchu.

Wreszcie rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Za oknem przemknął cień. W powiększonej gwałtownie szparze ukazał się ciemny owal twarzy samotnej gospodyni. Po chwili firanka wróciła na swoje miejsce. Pierwszy mężczyzna cofnął się odruchowo i przywarł plecami do ściany. Nad drzwiami zapłonęła mleczna kula, oświetlając alejkę, pozbawione liści gałęzie drzew i sylwetkę gościa. Pukanie powtórzyło się, brzmiało teraz głośniejsz, natarczywie, przybyły niedwuznacznie demonstrował swoje zniecierpliwienie. Dał się słyszeć metaliczny chrobot zamka. Wtedy dopiero przyczajony za rogiem mężczyzna oderwał się od ściany i cały czas nasłuchując wrócił pod schodki prowadzące na werandę.

- Przecież to jest pensjonat... - przybyły wykrzywił usta w nerwowym grymasie. - Po prostu ma pani gościa.

Zawodzka stała, zagradzając sobą drzwi prowadzące z małej, drewnianej sieni w głąb domu, i patrzyła na niego oszołomiona.

- Nie przyjmujemy gości - wykrztusiła wreszcie. - O tej porze...

Pora na wizytę i pobyt w podgórskim hoteliku była istotnie najmniej stosowna ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić. Dotarło to widać do świadomości mężczyzny, bo po chwili wahania postawił pod ścianą teczkę i zdjął kapelusz.

- Chciałbym zdjąć na chwilę płaszcz - powiedział łagodniejszym tonem.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę pana przyjąć... - Zawodniczka uspokoiła się trochę, wciąż jednak zagradzała sobą wejście.

- Jestem sama...-urwała.

- Przepraszam, że się uniosłem - mężczyzna nie zwracając uwagi na jej protesty zdjął płaszcz i rozejrzał się po sieni. Nie znalazłszy wieszaka, ułożył nakrycie na gwoździu sterującym z framugi drzwi.

- Pani pozwoli - postąpił krok do przodu, sięgając równocześnie do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Nazywam się Kmita - ciągnął - jestem inżynierem... rozumiem pani rezerwę, wieczór jest jak stworzony dla upiorów czy rzeźmieszków. Zapewniam panią, że nie mam nic wspólnego z jednymi ani z drugimi. Po prostu mój przyjaciel, który kiedyś spędzał u pani urlop, wyznaczył mi tu dzisiaj spotkanie. Proszę mi wierzyć, że byłem równie zdumiony, jak pani teraz. Ale w interesach konieczna jest czasem taka mała konspiracja. Ja... - uśmiechnął się ujmująco - prowadzę niewielką wytwórnię kosmetyków...

Zawodniczka przyjęła machinalnie wręczony jej dowód osobisty i przebiegła go wzrokiem.

- No i co? Mogę wejść?

Przyjrzała mu się uważnie. Mężczyzna, który tak nieoczekiwanie pojawił się w jej domu, miał na sobie ciemne ubranie, zamiast kamizelki nosił czarny, połyskujący złotą nitką pulower. Z butonierki sterczał różek śnieżnej chusteczki. Uśmiechając się marszczył szeroki, mięsisty nos. Był raczej niski, tęgawy, stanowczo nie wyglądał na człowieka uciekającego się w załatwieniu swoich spraw do przemocy fizycznej.

- Proszę - zdecydowała się nagle. Otworzyła drzwi i przepuściła Kmitę. Znaleźli się w obszernym pokoju, a raczej hallu, pełniącym równocześnie funkcje salonu recepcyjnego i

jadalni, o czym świadczyły rząd kwadratowych stolików i ustawione z boku, pod ścianą, biureczko. Trzy okna szczelnie zakrywały ciężkie zasłony. W rogu, obok pierwszego okna, za otwartymi drzwiami czerniała prostokątna wnęka werandy. Na przeciwległej ścianie zauważył Kmita parę drzwi, prowadzących, jak się domyślił, do pomieszczeń przeznaczonych dla gości.

Dalsze obserwacje przerwał głośnie, stanowcze pukanie do drzwi. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał porozumiewawczo na gospodynię.

- Widzi pani - powiedział tryumfującym tonem - to on. Mówiłem. Niech pani otworzy.

Przez moment wydało się Zawodzkiej, że w głosie Kmity zabrzmiała nuta niepokoju. Zawahała się, po czym bez pośpiechu zniknęła w sieni. Usłyszał jej głos, pytający „kto tam?“, niewyraźną odpowiedź i szcęk zamka.

Pokój obiegła fala zimnego podmuchu, wprawiając ciężkie skrzydła zasłon w miękki, wahadłowy ruch. Zaraz potem w progu ukazała się gospodyni.

- Pan Drożny - zapowiedziała, po czym ponownie zniknęła za drzwiami. - Proszę się rozebrać - jej głos rozlegał się matowym echem w drewnianej sieni - pana przyjaciel już czeka. Pan u mnie kiedyś mieszkał? - Kmita nie dosłyszał odpowiedzi Drożnego, który zresztą w tym samym momencie wszedł do pokoju. Zatrzymał się koło biurka i obrzucił Kmitę czujnym, badawczym spojrzeniem. Po dobrej chwili odwrócił się do Zawodzkiej.

- Czy... - zawahał się - czy mogłaby pani zostawić nas na chwilę samych?

- Ja miałbym wielką prośbę - dorzucił szybko Kmita z uśmiechem, mającym najwidoczniej zatuszować niezręczność przyjaciela - dałbym nie wiem co za filiżankę gorącej kawy... zmarłem jak pies. Czy byłaby pani tak łaskawa?

Zawodzka nie odpowiedziała. Ponownie rozbudzona nieuf-

ność podsuwała jej różne niepokojące obrazy. Wyglądało na to, że tych dwóch przybyło do jej domu załatwić jakieś niezbyt przyjacielskie porachunki. Ale skoro ich już wpuściła... Pomyślała o szalejącej na dworze nie pogodzie.

- Dobrze, zaraz zaparzę. Panu także podać? - dodała patrząc na Droźnego.

- Bardzo proszę, jeśli można...

„Ostatecznie - pomyślała - nie będą się przecież bić”.

Kiedy Zawodzka wyszła, Droźny zdecydowanym ruchem przysunął sobie krzesło i usiadł przy pierwszym z brzegu stoliku.

- No? - rzucił. Zabrzmiało to sucho, niemal niegrzecznie.

- Nie rozumiem? - powiedział Kmita, przyglądając mu się ze sztucznie zaakcentowanym zdumieniem. Rozejrzał się i usiadł dwa stoliki dalej. - Zdaje się - podjął - że to pan jest mi winien pewne wyjaśnienia...

- Ja? - Droźny wykrzywił usta w ironicznym grymasie. - Ja przyjechałem tutaj na pana zaproszenie. A więc słucham...

Kmita usiłował się uśmiechnąć. - Proponuje pan zabawę w „ciepło-zimno”? - spytał. - Jeżeli to jest wszystko, co ma mi pan do zaoferowania, to trzeba przyznać, że dałem się nabrać jak pierwszy lepszy pętaś, panie... Robin Hood - ostatnie słowa wypowiedział ze znaczącym naciskiem.

- Robin Hood? - w głosie Droźnego zabrzmiało prawdziwe zaskoczenie.

- Jak to? To przecież pan pisał do mnie te wszystkie listy, to pan mnie tu dzisiaj ściągnął... Jeżeli to mistyfikacja...

Kmita wstał i zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Jeżeli to mistyfikacja - powiedział spokojnie - to ja padłem jej ofiarą. Nie pisałem do pana żadnych listów. Przyjechałem tutaj zaproszony przez kogoś, kogo nie znam osobiście. Myślałem, że to pan. Jeżeli się pomyliłem, to przepraszam... Wobec tego - dodał po chwili - nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Drożny podniósł się również i spojrzął na zegarek. - No cóż - zaczął ostentacyjnie chłodnym tonem - trzeba się zastanowić, co począć z resztą tak mile rozpoczętego wieczoru...

- Zaraz będzie kawa - przypomniał uprzejmie Kmita.

To ostatecznie wyprowadziło Drożnego z równowagi.

- Ciekaw jestem - warknął - kiedy wreszcie przestanie się pan wygłupiać!

- Właśnie zadawałem sobie w duchu to samo pytanie - pośpieszył z odpowiedzią Kmita. - Z tą różnicą, że w charakterze podmiotu pozwoliłem sobie wykorzystać osobę szanownego pana...

- Słuchaj pan... - zasyczał przez zęby Drożny, patrząc na niego z nieukrywaną wściekłością. - Jestem człowiekiem interesu. Nie mam czasu na idiotyczne kawały. Pytam po raz ostatni: po co pan mnie tu ściągnął?! - gwałtownym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej zmięty świstek papieru. - Po co pan to pisał?!

Na widok kartki Kmita zmienił się na twarzy. Wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w wyciągniętą w jego kierunku rękę, następnie wyrwał z niej papier i szybko przebiegł go oczyma.

- To... - zaczął. Nagle uspokoił się, westchnął i sięgnął do kieszeni. Po chwili w jego dłoni pojawiła się druga kartka, identyczna jak ta, którą odebrał przed chwilą od Drożnego. Bez słowa wręczył mu obydwie maszynopisy, po czym odwrócił się i podszedł do okna. Niecierpliwym gestem uchylił zasłonę i zapatrzył się ponuro w mokrą ciemność, ciasno opasującą dom.

- Co to ma znaczyć? - dobiegł go poirytowany głos Drożnego.

Wzruszył ramionami.

- Jedno z dwojga - powiedział, nie odwracając się. - Albo zaproszono nas obydwóch, albo ktoś nam zrobił kawał...

- Ale dlaczego właśnie nam?!

- Doprawdy - Kmita oderwał się wreszcie od okna i pod-

szedł do stolika - zbyt wiele pan ode mnie oczekuje...

- Pan też...? - Drożny zawiesił głos i spojrzął na niego pytająco.

- Chodzi panu o to, czy dostawałem listy? - Owszem. - Kmita mówił zmatowiałym nagle głosem, jakby bardzo zmęczony. - Maże pan może przy sobie?

- A pan? - odpowiedział pytaniem Drożny. Kmita uśmiechnął się.

- Myślę - powiedział - że wypadaloby się przedstawić. Nazywam się Kmita, prowadzę firmę „Laura”. Może pan sły-szał: kosmetyki, środki chemiczne...?

Drożny zawahał się. - Moje nazwisko pan zna... - powiedział po chwili niechętnym tonem. - Przedstawiła mnie przecieź gospodyni... - skrzywił się ironicznie. Nagle spojrzął na Kmitę, tknięty jakąś myślą. - A może... - wskazał głową drzwi, za którymi zniknęła Zawodzka.

Kmita zmarszczył brwi. - Um... - mruknął po chwili. - Nie ściągałaby nas tutaj, do siebie...

- Może... - Drożny chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i machnął ręką. - Ja - podjął przerwana prezentację - mam mały warsztat. Pióra, długopisy...

- Ooo - Kmita uniósł brwi i uśmiechnął się z uznaniem. - Dobra branża. Czysty interes. U nas - pożalił się - cholerne kłopoty z surowcami...

Drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju weszła Zawodzka, niosąc przed sobą tacę, z której uciekały dwie smużki aromatycznej pary.

- O, kawa! - ucieszył się Kmita. - Znakomicie! - zatarł ręce i podsunął Zawodzkiej krzesło. - Siądzie pani z nami?

- Wie pan - powiedziała Zawodzka, podsuwając Drożnemu cukiernicę - jakoś nie mogę sobie pana przypomnieć...

- Mnie? - Drożny wytrzeszczył oczy. Rzucił szybkie spojrzenie Kmicie i zreflektował się.

- No... - mruknął ponuro - to było tak dawno... ale ja panią

pamiętam - dodał szybko.

W tym momencie dobiegł ich głośny stuk furtki. Wszyscy troje spojrzeli po sobie nieufnie.

- Któż to znowu... - powiedziała niepewnie Zawodzka. Drgnęła, usłyszawszy już z sieni wysoki, ostry głos:

- Jest tam kto?!

- Jak oni weszli? - Kmita zerwał się z miejsca i ruszył w stronę drzwi. Tuż za nim podążyła Zawodzka. Zatrzymali się w progu na widok dwóch mężczyzn, którzy zdejmowali ociekające wodą płaszcze.

- Dobry wieczór - mówił wspinając się do wieszaka niski, krępy mężczyzna, błyskający łysiną. - Widzę, że „Janina” ma powodzenie... to najlepsza reklama dla gospodarzy. W taką pluchę... - uporał się wreszcie z płaszczem i podszedł do Zawodzkiej. - Pani pozwoli, nazywam się Żuławski. Przyjechałem do Osady w interesach - uśmiechał się, tocząc dokoła okrągłymi, niespokojnymi oczkami - i postanowiłem zaprosić się na kawę do najlepszego pensjonatu... Można? - nie czekając na zaproszenie przepchał się przez drzwi. Staął za progiem i odwracając się do swojego kompana zawołał: - Chodźże pan szybciej! Kawa już na stole!

Drożny i Kmita wymienili szybkie spojrzenia.

- Ktoś mnie tutaj zaprosił... - mruknął Żuławski, mijając ich w drodze do pokoju.

- Pani jest gospodynią? - czwarty mężczyzna obrzucił Zawodzką przelotnym spojrzeniem. - Jestem Krupa - wyjaśnił. - Przyjechałem do Osady na godzinę, a okazuje się, że trzeba będzie przenocować... - dodał obojętnym tonem, wchodząc ciężkim krokiem do pokoju.

- Ja niestety... - zaczęła Zawodzką.

- Jeżeli panowie jesteście zamiejscowi - powiedział szybko Krupa, nie pozwalając jej skończyć - to mamy przed sobą wspólną upojną noc...

- Jak to?! - zawołali w zgodnym duecie Kmita i Drożny.



- Po prostu - wyjaśnił rubasznie Krupa - ostatni autobus „wypadł”. A ten, którym przyjechaliśmy - zerknął na zegarek - odjeżdża właśnie w tej chwili...

- Jak daleko jest stąd do stacji? - spytał nerwowo Kmita.

- Czternaście kilometrów - odpowiedziała machinalnie Zawodzką.

- Jest tutaj jakaś taksówka? W ogóle samochód? - rzucił Drożny.

Zawodzką pokręciła głową.

- W taką pluchę i o tej porze nikt nie pojedzie... Ale ja naprawdę... - rozłożyła ręce, patrząc bezradnie na obecnych.

- Eee - uciął Krupa. - Sama pani rozumie, że musimy zostać. Jakoś to będzie. - Podszedł do okna i uchylił zasłonę. - Wiatr, deszcz, zimno... w taką pogodę nawet Robin Hood uciekał z lasu i chronił się u zaprzyjaźnionych dworek...

Mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym zgodnie utkwili wzrok w plecach Krupy.

- Mamy przez to rozumieć, że czekaliśmy tutaj na pana?

- Drożny wyprostował się i postąpił krok do przodu.

- Na mnie? - Krupa odwrócił się gwałtownie. Spojrzał na Zawodzką, stojącą bezradnie pod drzwiami i przyglądającą się nieufnie swoim nieproszonym gościom.

- Czy zechciałaby pani zrobić nam herbaty?

- Ja proszę o kawę - dorzucił Żuławski, wpatrując się badawczo w Krupę. Ten odprowadził spojrzeniem Zawodzką, po czym usiadł wygodnie przy biurku.

- Pana pytanie mnie zaskoczyło... - powiedział powoli do Drożnego.

- Ja zostałem tutaj zaproszony...

- Ja również - dorzucił nerwowo Żuławski. - Z panem Krupą porozumieliśmy się w autobusie... - Myślałem, że to któryś z was...

- Wyjeżdżam - rzucił po chwili milczenia Drożny.

- Chyba - powiedział przeciągając sylaby Kmita - że pan

Krupa zechce nam jednak opowiedzieć coś więcej o zwyczajach i... interesach owego Robin Hooda?

Krupa zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. - No cóż - odezwał się, wypuszczając chmurę dymu - czytałem kiedyś, że był punktualny i nie rzucał słów na wiatr. Zwłaszcza kiedy umawiał się z ludźmi, których chciał oskubać...

- Myśli pan... - zaczął Kmita.

- Myślę - przerwał - że człowiek, który mnie zaprosił na dzisiejszy wieczór do Osady, nie zrobił tego dla kawału. Powiedziałbym, że wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, gdyby nie ewentualność, że ten człowiek znajduje się teraz tutaj, w tym pokoju...

Zapanowała cisza.

- Dobrze - powiedział wreszcie Drożny. - To oczywiście niczego nie dowodzi, bo można napisać, co się chce, także do... siebie - ale proszę. To jest moje „zaproszenie” - mówiąc te słowa położył na stole rozpostartą kartkę papieru i spojrzał pytająco na pozostałych. Po chwili wahania Kmita zrobił to samo. Żuławski zbliżył się do stolika i przebiegł wzrokiem obie kartki - Skoro tak... - powiedział nerwowo - dobrze. Proszę... - obok dwóch poprzednich pojawiła się na stole trzecia, identyczna kartka, zapisana równym, maszynowym piśmem. Krupa podniósł się bez słowa, podszedł do stolika i przysunął do siebie wszystkie trzy kartki, układając je w równym rzędzie.

*Szanowny Panie - tu anonimowy autor zamieścił nazwisko adresata. Była to jedyna rzecz różniąca teksty wszystkich trzech listów. - Mam nadzieję - pisał dalej nieznajomy - że odebrał Pan moje poprzednie listy. Podkreślam z naciskiem, że dotyczące Pana działalności fakty, które w nich przedstawiłem, nie zostaną przeze mnie w żadnych okolicznościach ujawnione. Chciałem po prostu przedzić*

*mój dzisiejszy list, w którym przedstawię pewną propozycję z okresem czasu, potrzebnym dla ugruntowania Pana przekonania o moim życzliwym i serdecznym zainteresowaniu Jego osobą. Cała moja dotychczasowa korespondencja, jak również obserwacja prowadzonych przez Pana interesów, miała służyć temu tylko celowi. W to musi mi Pan uwierzyć. A oto moja prośba. Mam plan. Chodzi o interes, jakiego jeszcze nie było. Gwarantuję bezpieczeństwo i milionowe zyski. Potrzebuję Pana energii i doświadczenia. Czas najwyższy, abyśmy się spotkali i wszystko omówili. W związku z tym proszę o przybycie dnia jedenastego listopada o godzinie dwudziestej do pensjonatu „Janina” w Śląskiej Osadzie.*

*Znam Pana już dostatecznie dobrze, aby wierzyć, że przyjmie Pan tę propozycję. Jest rzeczą zrozumiałą, że przyjęcie tego zaproszenia, jak również nasza rozmowa nie pociągną za sobą najmniejszych zobowiązań z Pana strony. Decyzję podejmie Pan sam. Zależy mi jednak bardzo na naszym spotkaniu. Proszę pamiętać, że pozwalam sobie przedstawić tę propozycję Panu jako znanemu mi człowiekowi czynu, doświadczonemu organizatorowi.*

*Robin Hood*

- Hm... - mruknął, skończywszy czytać, Krupa. Leniwie sięgnął do kieszeni, wydobywając złożoną kartkę papieru. Ujął ją w dwa palce i powiódł przed sobą, demonstrując każdemu z obecnych. - Zdaje się - rzucił obojętnie - że jesteśmy naprawdę w tej samej sytuacji... Od jak dawna dostajecie te listy?

- Ja od lipca - odparł po chwili Żuławski. Krupa skinął głową.

- To się zgadza - powiedział. - A panowie?

- Lipiec - rzucił Drożny. Kmita przytaknął.

- Kupiłem wtedy większą partię towaru... - powiedział półgłosem Krupa. - Oczywiście... rozumiecie, panowie - słowom towarzyszył wiele mówiący gest, dobrze znany w świecie interesu. - Nie wiem, jak ten facet to wyniuchał - ciągnął Krupa - ale opisał mi całą historię, jakby chodził za mną do słownie krok w krok... - mówiąc to pochylił się nad Żuławskim i spojrzał na niego współczująco. - Pan dostał coś podobnego, prawda?

- Mniej więcej - odpowiedział po chwili Żuławski.

- Ja raczej więcej niż mniej - rzucił Drożny.

- Krótko mówiąc - podsumował Kmita - ktoś nas obserwował, zebrał jakimś cudem mnóstwo - trzeba przyznać - dokładnych informacji o naszych sprawkach - jesteśmy wśród swoich, panowie - wtrącił uspokajająco - przedstawiał nam to wszystko w listach, które przychodzą od kilku miesięcy, i wreszcie polecił każdemu z nas przyjechać tu dzisiaj na spotkanie. Celowo mówię: polecił. Tak przecież, a nie inaczej trzeba zrozumieć podkreślenia w tekście anonimu, tam gdzie jest mowa o tym, że ich autor dobrze wie, do kogo pisze. Bądźmy szczerzy - gdyby nie to, żaden z nas nie przyjechałby tutaj...

Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Przerwało ją dopiero wejście gospodyni, która przyniosła herbatę dla Krupy i kawę dla Żuławskiego. Zaraz zresztą przeprosiła i wyniosła się z pokoju, mówiąc, że musi przygotować pościel. Najwidoczniej pogodziła się z koniecznością udzielenia gościny tej osobliwej czwórce.

- Co robimy? - rzucił Drożny, zacierając nerwowo dłonie.

Krupa poprawił się w krześle. Pociągnął spory łyk herbaty, westchnął głośno i odstawił powoli szklanekę.

- Ostatecznie - powiedział spokojnie - zostałem tutaj zaproszony. Dano mi do zrozumienia, to znaczy, ten ktoś dał mi do zrozumienia, że wie o mnie dostatecznie dużo, aby liczyć na moją obecność. Chciałbym go poznać. Cóż, każdy ma się

prawo spóźnić...

- Ależ jest już po dziesiątej - zaprotestował Żuławski.

- Jakoś mi się udało - powiedziała od drzwi Zawodzka. Nie zauważyli, kiedy weszła. - Zaraz panów poproszę... przygotuję osobne pokoje... - uśmiechnęła się i zniknęła w sieni. Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Myśleliśmy już o tym... - powiedział półgłosem Kmita, wskazując ruchem głowy Droźnego.

Zawodzka zamknęła za sobą drzwi i zapaliła lampkę, oświetlając schody, prowadzące na piętro. Stała chwilę niezdecydowana, spoglądając w górę, na drewnianą galeryjkę. Wreszcie westchnęła i ruszyła w głąb sieni, przeciskając się między schodami i stertą porzuconych pod ścianą gospodarskich rupieci. Przekroczywszy wysoki próg, odgradzający się od werandy, przekręciła kontakt. Oszkloną przybudówkę zalało silne, mlecze światło. Drzwi hallu, w którym zostawiła gości, sąsiadowały bezpośrednio z wejściem do sieni. Nieco dalej, w bocznej ścianie, widniały zaopatrzone w potężną, żelazną klamkę drzwi, prowadzące do ogrodu.

Drzwi hallu otworzyły się nagle z hałasem. - Pani gospodyni?! - głos Kmity rozległ się głuchym echem.

- Tu jestem!

- Mogłaby nam pani pożyczyć karty do bridża? Jest nas akurat czterech....

Żuławski przygryzł wargi. - Trzeba było dalej grać piki... - syknął. Krupa skinął poważnie głową.

Gra nie kleiła się. Przede wszystkim Krupa popełniał co chwilę wołające o pomstę do nieba błędy. Po drugie - w miarę upływu czasu nawiedzały grających coraz bardziej niespokojne i niepokojące myśli. Nad stolikiem krzyżowały się podejrzliwe spojrzenia. Krupa wbił wzrok w asa karo. O co właściwie mogło chodzić temu „Robin Hoodowi”? Dlaczego

wybrał tych właśnie ludzi, których nie łączyła chociażby przelotna znajomość? Czyżby chciał tylko wyciągnąć ich z miasta? W takim razie - znowu: dlaczego właśnie ich? A jeśli jest jednak coś, co ich łączy... jeżeli oni wszyscy... - przemknęło mu przez myśl. Spisek?

- Powiedziałem cztery bez atu - usłyszawszy karcący głos Żuławskiego, Krupa omal się nie uśmiechnął. Biedaczysko - pomyślał - jeszcze nie stracił nadziei... Jego „pas” zabrzmiało niemal współczująco.

Kmita wybuchnął śmiechem. - Po czterech bez atu... - jęknął Żuławski.

- Pan wychodzi - rzucił cierpko Drożny. - Można by raczej powiedzieć: czterej bez atu... - dodał półgłosem.

- Nie rozumiem - Żuławski zmarszczył brwi.

- Naprawdę? - zdziwił się Krupa.

- A może trzej... i as - dorzucił Kmita.

Żuławski rzucił ze złością karty. - Kiedy przyszedliśmy tutaj z panem Krupą, panowie byli już na miejscu. Na ogół bywa tak, że gospodarze czekają na... zaproszonych...

- Ja zastałem tutaj inżyniera Kmitę - powiedział obojętnym tonem Drożny. Trzy pary oczu spoczęły na Kmicie. Ten wodził chwilę zaskoczonym spojrzeniem od jednego do drugiego, wreszcie uśmiechnął się z przymusem.

- Mnie - zaczął - przyjęła pani Zawodzka. Ona jest tutaj gospodynią...

- Jednym słowem - Krupa wstał i przeszedłszy dokoła stołu zatrzymał się nad plecami Żuławskiego - jednym słowem - powtórzył - przydałby się nam przysłowiowy piąty as...

- Nie wierzę - warknął Drożny.

- W co pan nie wierzy? - spytał nerwowo Żuławski.

- W nic - odburknął tamten opryskliwie.

- Pan Drożny chciał nam dać do zrozumienia - wyjaśnił uprzejmie Krupa - że muszą nam wystarczyć cztery asy. I że jeden z nich... to znaczy: jeden z nas, gra tutaj rolę piątego...

Czy nie tak, inżynierze?

- Nie jestem inżynierem - mruknął Drożny.

- Oczywiście - zgodził się z przekonaniem Krupa.

Przesunął dłonią po twarzy, westchnął głęboko i ruszył w stronę biurka. - Przepraszam panów - powiedział, biorąc słuchawkę - muszę zadzwonić do żony...

- Ja też zadzwonię - powiedział Żuławski. Krupa zamówił „błyskawiczną” i nie odchodząc od telefonu obserwował spod oka Drożnego, który wpatrywał się ponuro w rozrzucone po stole karty. Odezwał się sygnał.

- Ale gdzie jest? - Krupa nie zastał widać żony w domu. Dziwne, pomyślał Kmita, O tej porze... Krupa wykręcał numer po raz wtóry. - Halo? - rzucił, uśmiechając się. Usłyszawszy znajomy głos, powiedział najczulszym tonem, na jaki może się zdobyć mężczyzna po kilkunastu latach małżeństwa: - Kochanie? To ja, Stefan...

W tym momencie Drożny sięgnął niedbale do sterty kart i odkrył jedną z nich. Był to as treflowy.

#### 4.

Sierżant Henryk Czernik wracał do domu pełen niedobrych myśli. Na ogorzałą twarz „pistollero”, który przed chwilą na ekranie dokonał szeregu rzeczy niemożliwych, nasuwała się co chwila inna, drobna, o subtelnym owalu, okolona połyskującą metalicznie kaskadą włosów. Nie przepadała za mężem - to rzucało się w oczy. Może ma kochanka? Albo kochanków? Na pewno ma kochanka - zdecydował, zwalniając odruchowo.

Sierżant, który był kawalerem w wieku lat dwudziestu sześciu, cenił sobie wysoko dowody życzliwego zainteresowania, jakie dość chętnie składały mu osoby płci pięknej, ujęte jego chłopięcym wdziękiem. Natura obdarzyła poza tym Czernika żywą wyobraźnią, która to cecha pozwalała mu kosztować smaku rozmaitych owoców, zanim jeszcze wichry zdołały strącić je pod jego nogi z drzewa życia. Także i teraz myśl o wiarołomstwie Żuławskiej irytowała go jako naruszenie harmonii słonecznych wizji, które - co tu ukrywać - ułożyły się już były w jego imaginacji w sugestywny i dość nawet realistyczny obraz.

Dochodziła dwunasta. Ulica, oświetlona starymi, kołyszącymi się nad środkiem jezdni latarniami, była mroczna i pusta.

Czernik szedł bez pośpiechu, kątem oka zerkając w nieliczne oświetlone jeszcze parterowe okna. Dzielnica nie należała do eleganckich. Pomimo nikłego w porównaniu ze starszymi kolegami stażu, sierżant mógłby opowiedzieć niejedną ponurą, a prawdziwą historię, która rozegrała się za tymi, zasłoniętymi szczelnie białymi firankami, oknami, wprawionymi w poszarzałe, ceglane ściany. Nie była to dzielnica robotnicza. Raczej typowe przedmieście wielkiego centrum przemysłowego, przedmieście - na skutek



żywiolowego pączkowania miasta w trzech pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku - oddalone zaledwie o pięć minut drogi od nowoczesnego, buchającego neonami śródmieścia.

Wraz z nową falą wiatru przeniknął go chłód. Postawił kołnierz swojego mundurowego płaszcza i przyśpieszył. Deszcz, który padał cały dzień, zmienił się teraz w zacinający złośliwie kapuśniaczek. Pierzchło ciepło, które wyniósł z nabi-tej po brzegi sali kina. Po opuszczeniu mieszkania Żuław-skich, złożeniu raportu i ustaleniu dalszego postępowania zo-stało mu jeszcze akurat tyle czasu, ile trzeba było, aby kupić bilet na specjalny nocny seans. Wyświetlano oczywiście we-sterń.

W pustej ulicy zabrzmiał ostrym echem stukot damskich obcasów. Po chwili zza węgła wynurzyła się postać kobiety w skórzanym płaszczyku i chustce na głowie. Czernik stanął jak wryty. W następnym ułamku sekundy, raczej pod wpływem impulsu niż jakiejś konkretnej myśli, odwrócił się gwałtownie i przeszedłszy kilka kroków wniknął w czeluść nie oświetlonej bramy wjazdowej starego, dużego budynku. Po chwili wzdłuż bramy, w której zastygł, przytulony do ściany, przeszła szyb-kim krokiem... Żuławska. Byłby ją poznał, nawet gdyby na jej twarz nie padło światło rozbujaanej wiatrem latami właśnie wtedy, kiedy znalazła się na wprost niego. Nie mogło być wątpliwości. „Stary ma jednak nosa - pomyślał z zawistnym uznaniem o kapitanie - coś w tym musi być...”

Coś w każdym razie było za uchylonym skrzydłem ciężkiej, drewnianej bramy. W momencie kiedy Czernik postąpił do przodu, aby wyjrzeć ostrożnie na ulicę - to „coś” wyskoczyło jak duch, z wzniesioną dłonią, w której zamajaczył ciemny, podłużny kształt. Nagły błysk, nieznośne ciepło pod czaszką i przemożna uległość kolan - takie były ostatnie wrażenia sierżanta, związane z dniem spotkania czterech ofiar „Robin Hooda” w Śląskiej Osadzie.

Drzwi, pchnięte gwałtownie z zewnątrz, odskoczyły z hałasem i ukazał się w nich wielki, biały kłęb.

- Jeden z panów tutaj... - Zawodzka, taszcząc przed sobą zwiniętą w rulon pościel, zmierzała w stronę pokoju położonego na wprost sieni. Kmita podskoczył pierwszy, otworzył szarmancko drzwi, odbierając równocześnie Zawodzkiej twarzą nabitą poduszkę. - Ależ to apartament... - jego grzecznościowe zachwyty dobiegały już z wnętrza pokoju.

- Jednego z panów ulokuję po przeciwnej stronie domu, koło mnie... - Zawodzka wróciła do hallu i spoglądała na nich zachęcająco.

- Koło uroczej gospodyni to tylko ja...- ironiczny grymas Drożnego rozpląnął się we wzorowym, uwodzicielskim uśmiechu.

Krupa odwrócił się ostentacyjnie do okna i nie zmienił tej pozycji, zanim Zawodzka z tańczącym dokoła niej Drożnym nie opuściła pokoju.

- Czuję, że dla nas zostaną krzesła w hallu... - mruknął Żuławski.

- Jest jeszcze stół na werandzie - uzupełnił Krupa.

Obydwaj dostali jednak pokoje na piętrze - Żuławski bezpośrednio nad gospodynią, Krupa po przeciwnej stronie. Pomieszczenia przedzielał korytarz, wyścielony kokosowym chodnikiem.

Kiedy goście, powiedziawszy sobie „dobranoc”, zniknęli w swoich pokojach, Zawodzka rzuciła się na tapczan i zamknęła oczy. Znad sufitu dochodziły wyraźne odgłosy zniecierpliwienia. Gwałtowne szuranie krzesła, głośny trzask rzuconych z impetem kluczy, jakieś mamrotanie. Jeden stuk. Drugi. Taki odgłos mogły wydać męskie buty, zrzucone z wysokości krzesła. Bolesny jęk sprężyn.

Zawodzka westchnęła. Nagle przypomniała sobie, że zostawiła światło na werandzie. Podniosła się niechętnie i wyszła do sieni. Przeciskając się między schodami i stosem

rupieci, zdjęła wieńczący piramidę duży rondel z drewnianą rączką i miednicę. Wyniosła je na werandę i upchała w kącie. Raptem znieruchomiała. Zza ściany dobiegło niewyraźne zgrzytanie, jakby chrzęst ubijanego piasku. Wyprostowała się, nasłuchując. Po chwili odwróciła głowę. Musiała ulec złudzeniu, bo szuranie odezwało się tym razem z sieni. Ostrożnie, na palcach, wróciła w pobliże schodów. Drzwi hallu były uchylone. Ze środka dochodził cichy głos, przypominający chrobotanie metalowych narzędzi. Gotowa w każdej chwili do odwrotu, zajrzała ostrożnie do pokoju. Widocznie jednak nie zachowała się tak dyskretnie, jak zamierzała, bo Drożny natychmiast zwrócił ku niej zatroskaną twarz.

- Nie mogę sobie znaleźć miejsca - powiedział szybko. - W mieście czeka na mnie tyle pracy... - machnął ręką, zrezygnowany.

- Nie szkodzi... - Zawodzka odetchnęła z ulgą. - Zajrzałam, bo... po prostu odzwyczaiłam się od obecności ludzi w domu... teraz, po sezonie... Dobranoc panu - uśmiechnęła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zaraz potem z sieni dobiegł jej głos, na który odpowiedziało kilka głośnych pomruków, i do pokoju wszedł Krupa.

- Pan tutaj? - spytał beznamiętnym tonem, podchodząc do stolika.

- I tak nie zmrużę oka. Diabli mnie biorą, że dałem się tak nabrać! Cholera! - Drożny przeszedł się nerwowo po pokoju. Nagle stanął jak wryty, olśniony jakąś myślą. Powoli odwrócił głowę w stronę Krupy, po czym pochwycił go kurczowo za rękaw.

- To pan, prawda?

Napadnięty oswobodził stanowczym ruchem ramię i wykonał przepisowe „w tył zwrot” na lewej pięcie.

- Nie - rzucił cierpko. - To nie ja.

- Więc kto?!!! - Drożny patrzył na niego z wściekłością.

-Kto?!!!

- Właśnie - odburknął Krupa.

Drożny przysunął sobie krzesło i usiadł ciężko, opierając się oboma łokciami na stole. - Robin Hood - syknął. - Chciałbym go teraz mieć tutaj, pod ręką...

- A jednak pan przyjechał...

- A pan nie?

Krupa skinął głową. - Przyjechałem. Facet za dużo wie. To mi się nie podoba...

- Otóż to - zaniepokoił się Drożny. - Dostałem pięć... nie, sześć listów... Za każdym razem, kiedy coś... rozumie pan - no, kiedy trafił mi się jakiś dobry interes, przychodził anonim. Czego ten facet chce?

- Pewnie chce zarobić - odparł lakonicznie Krupa. - W każdym razie - mówił, zastanawiając się - nie sądzę, żeby to robił dla kawału... Dużo pracy musiało go kosztować drobiazgowy śledzenie każdego kroku całej naszej czwórki...

- Więc myśli pan, że to żaden z nich? - pobiegł spojrzeniem w stronę drzwi, za którymi spał Kmita, i ku sufitowi.

- Wiem tyle, co pan... i myślę, że dzisiaj niczego się już nie dowiemy. - Spojrzał na zegarek. - Dochodzi dwunasta.

Zapanowało milczenie.

- A może partyjkę szachów? - zaproponował nagle, bez przekonania, Drożny.

- A ma pan szachy? - w głosie Krupy zabrzmiały aprobata i nadzieja.

- Powinny być w teczce - Drożny podniósł się i szedł do wyjścia. - Pójdzie pan ze mną?

- Mogę - przystał Krupa.

Małe, płaskie pudełeczko, z okrągłymi otworkami pośrodku każdego z pól szachownicy, istotnie znalazło się w teczce Drożnego. On sam rozejrzał się niechętnie po swoim pokoju.

- Wróćmy lepiej do hallu - powiedział, krzywiąc się.

Krupa ruszył ochoczo do drzwi. Ku jego zdziwieniu, Drożny

po wyjściu z pokoju zaczął wstępować na schody, prowadzące na piętro. Znalazłszy się w korytarzu, zapukał głośno do drzwi.

- Panie Żuławski! - wyczekawszy chwilę, zapukał powtórnie.

- Niechże mu pan da spokój - mruknął Krupa.

- Panie Żuławski! - Drożny nie dawał za wygraną.

Wreszcie z pokoju dobiegło niecierpliwe sapnięcie i zgrzyt sprzęzyn. - Kto tam? - zabrzmiał zaspany głos Żuławskiego.

- Rzeczywiście, śpi - stwierdził naiwnie Drożny.

- To znaczy, spał - uciał Krupa.

- Nic, nic, panie Żuławski - Drożny przytknął niemal wargi do drzwi. - Idziemy zagrać partyjkę szachów, myślałem, że może pan nie śpi... nie ma pan przypadkiem jakiejś butelczyny?

- Niestety - głos zza drzwi brzmiał już nieco raźniej. - Idźcie lepiej spać... musimy wstać przed szóstą, żeby uciec z tej przekłętej dziury pierwszym autobusem...

- Już nas nie ma - Drożny cofnął się i zaczął schodzić na dół. - Dobranoc, panie Żuławski.

Odpowiedź Żuławskiego zagłuszyło gwałtowne skrzypienie łóżka.

## 5.

- O, mammo... - jęknął. Z bladuróżowej poświaty, wirującej jak diabelski młynek, wynurzyło się coś podobnego do kilku wyciętych z papieru i nierówno nałożonych na siebie masek. Poczul na ramionach czyjeś ręce. Nagle te ręce targnęły nim brutalnie. W głowie zahuczało i załomotało, czaszka zmieniła się raptem w dzwon, w który kuje rozhuśtane serce.

- Panie władzo... - twarz wychynęła nieco ze świecącego kręgu. Jej kontury nasunęły się na siebie, rozdzieliły ponownie, wreszcie dotarło do jego świadomości, że ma przed sobą obcą, tęgą kobietę. Otworzył szerzej oczy.

- No, chwała Bogu... - głos zadźwięczał radośnie, sprowadzając huczące echo. Poczul na wargach zimny dotyk szkła.

- Panie władzo - kobieta wcisnęła rękę pod poduszkę i uniosła ją razem z jego głową. - Panie władzo - zabrzmiało znowu - wypijcie to... No - ponagliła. Bezwiednie otworzył usta i przełknął mały haust płynu. Zapiekło. Chwycił rękę kobiety, usiłując powstrzymać jej samarytańską szczodroblivość.

- Dosyć już, pani Helenko... Mogą pomyśleć, że był pijany.

- Eee - obruszyła się pierwsza - kropelka jeszcze nikomu nie zaszkodziła!

Huczenie ucichło gwałtownie, ustępując bezradnemu podnieceniu. Ten głos... Głos tej drugiej... Powoli odwrócił głowę. Starsza kobieta w kolorowym fartuchu, wciąż jeszcze pochylona nad łóżkiem, podtykała mu usłużnie biały kubek. Tuż za nią, z wyrazem zatroskania w dużych, błyszczących oczach, stała... Żuławska.

- Pani... - usiłował podnieść się na łokciach.

- No, no, - Kobieta nazwana przed chwilą „panią Helenką” przytrzymała go za ramiona. - Nie tak prędko, panie władzo... leżcie spokojnie.

Żuławska obeszała łóżko i zatrzymała się na wprost sierżan-

ta.

- Jak tam głowa? - zapytała, pochylając się do przodu. Jej włosy spłynęły, obejmując twarz miękką elipsą cienia. Gdzie jato widziałem... pomyślał z wysiłkiem. Nagle spłynęło objawienie. Zakopcone szkielko... mały chłopak... Tak właśnie wyglądało wtedy słońce. Obraz z dzieciństwa. To, że przywołało go światło zwykłej lampy, przeświecającej przez włosy kobiety, a właściwie dziewczyny - Żuławska nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat - nie miało znaczenia.

- To pani... - stwierdził.

- Chodzi panu o to, skąd się tutaj wzięłam? - uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Upadając uderzył pan o bramę. To narobiło takiego hałasu, że stanęłam i odwróciłam się. Potem ktoś wybiegł. To był... - zawiesiła głos, po czym mówiła dalej - no więc wróciłam. Kiedy zobaczyłam, że pan tam leży, pobiegłam po panią Helenkę i wspólnie przytaszczyliśmy pana tutaj, do niej...

- Ktoś mnie uderzył - równocześnie z tą myślą wróciło bolesne pulsowanie w skroniach. Nagle uniósł rękę.

- Dlaczego pani wróciła? - spytał bardziej przytomnym głosem. - To mogło być niebezpieczne...

- To nie było niebezpieczne... dla mnie. Drogi panie sierżancie - uśmiechnęła się - śledził mnie pan tak zapamiętałe, że musiałam to zauważyć...

- Wcale nie... - chciał jej powiedzieć, że się myli, że spotkał ją przypadkiem, ale rzuciwszy okiem na twarz pani Heleny dał za wygraną. Ostrożnie, żeby nie urazić głowy, rozejrzał się po mieszkaniu, do którego przyniosły go te kobiety.

Pod przeciwległą ścianą stał biały, kuchenny kredens, dalej piecyk gazowy i prosta szafa. Pośrodku stolik, trzy krzesła; w kącie metalowa umywalka, wieszak i etażerka, zasłonięta zmarszczoną firaniczką. Podłoga ułożona z desek, niegdyś czerwona, wypłowiwała od częstego szorowania. Czernik zwrócił twarz w stronę Żuławskiej. W jego wzroku odbiły się nie-

ufność i niedowierzenie.

- Panią Helenę znam od dziecka - powirowała, trafnie tym razem odgadując tok jego myśli. - Wychowałam się tutaj..

- No... - pani Helena uśmiechnęła się i spojrzała czule na młodą kobietę. - Przychodziła się do mnie bawić... pomagała nosić na strych bieliznę... kto by to pomyślał - taka dama... - w jej głosie zadźwięczała duma. W każdym razie nie było w nim cienia zawiści czy ironii.

W tym momencie z klatki schodowej dobiegły zmieszane męskie głosy. Pani Helena wyprostowała się i wytarła ręce w fartuch.

- Przyjechali - oznajmiła idąc w stronę drzwi. Czernik spojrzał pytająco na Żuławską.

- Wezwaliśmy milicję i pogotowie - wyjaśniła. - Ze względu na osobę poszkodowanego - dygnęła kokieteryjnie.

Sierżant zmarszczył nagle brwi. Coś sobie przypomniał.

- Powiedziała pani - zaczął z wysiłkiem - że spotkanie z tym kimś, kto mnie załatwił, nie byłoby dla pani niebezpieczne. Dlaczego?

Żuławska obejrzała się szybko za siebie, po czym pochylając się nad Czernikiem, tak że kosmyk jej włosów przesunął się po jego szyi, szepnęła:

- Boja wiem, kto pana uderzył...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do izby weszło dwóch mężczyzn w białych płaszczach. Za nimi dostrzegł Czernik dwie okrągłe czapki funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej .

- Tak, to już mat... - Krupa wsadził ręce do kieszeni spodni i ziewnął szeroko.

- Gdyby pan był skoczył koniem na E-4, partia byłaby nierozstrzygnięta. - Drożny w skupieniu wpatrywał się w szachownicę, analizując przebieg gry w końcówce.

- Tak, tak...



- Rewanżyk? - zaproponował bez przekonania Drożny.

- Nie - uciął Krupa. - Trzeba się trochę wyciągnąć. - Wstał, burknął: - dziękuję - i wyszedł z pokoju.

Skrzypienie schodów pod jego ciężkimi krokami rozległo się donośnym echem w uśpionym domu. Raptem kroki ucichły.

Krupa wpatrywał się jak urzeczony w uchylone drzwi pokoju Żuławskiego. Ze szpary buchał snop światła, kładąc się wierzchołkiem ostrego trójkąta na przeciwległych drzwiach. Te również były otwarte, chociaż Krupa pamiętał, że wychodząc z pokoju przekręcił klucz w zamku. W jego pokoju światło było jednak zgaszone. U Żuławskiego panowała idealna, martwa cisza. Krupa postąpił ostrożnie do przodu i mrużąc oczy, porażone blaskiem nie osłoniętej żarówki, zajrzał do wnętrza.

Żuławski leżał na wznak, z wyprostowanymi sztywno nogami. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie poza krawędź łóżka. Na białej koszuli, zapiętej pod szyją, widniała szeroka plama. Była niemal czarna w ostrym świetle. Cienka, zakrzepła struga spłynęła na leżącą przed łóżkiem kołdrę.

Krupa wpatrywał się w ten obraz z kamiennym wyrazem twarzy. Tylko nieliczni, którzy znali go naprawdę dobrze, mogliby z niedostrzegalnych drgnień ramion, krótkich spojrzeń, rzuconych na boki, lekkiego wychylenia do przodu - odgadnąć najwyższe napięcie, błyskawiczną koncentrację nerwów i zmysłów, jakie dokonały się w ciągu kilku sekund w tej beznamiętnej na pozór postaci.

Twarz Żuławskiego była zwrócona w stronę pokoju. W szeroko otwartych, zastygłych w wyrazie bezsilnego przerażenia oczach, patrzących prosto w lampę, leniły mleczone refleksy. Pośrodku plamy na lewej piersi, sterczała mocna, drewniana rękojęść. Ostrze pograżyło się w ciele całkowicie;

cios musiał być zadany pewną ręką Zginął zapewne natychmiast, chociaż w ostatnim przeblýsku świadomości dotarła do niego myśl, że wszystko dobiegło kresu. Świadczyły o tym wyraz przerażenia w oczach i konwulsyjne skrzywienie warg.

W tym momencie z dołu dobiegł odgłos zamykanych drzwi i ciche stąpanie. Słychać było wyraźnie chrobot figurek szachowych, kołatających w rytm kroków wewnątrz drewnianego pudełka. Krupa zbliżył się do łóżka i rozejrzał się po pokoju. Nic nie wskazywało na to, aby śmierć Żuławskiego poprzedziła walka czy też jakakolwiek inna gwałtowna scena. Jedno z krzesel było przysunięte do łóżka, jak gdyby przygotowane dla kogoś, kto przyszedł odwiedzić chorego. Koldrę mógł zerwać morderca w ostatnim momencie. Poza tym w skąpo zresztą umebLOWANYM wnętrzu pokoiku panował wzorowy ład.

Krupa odwrócił się i spojrział w stronę sieni. W domu panowała już absolutna cisza. Nie powodując najmniejszego szmeru, wyszedł na korytarz i przystanął przed drzwiami swojego pokoju. Pchnął je gwałtownie, otwierając na oścież, potem dopiero ostrożnie zajrzał do wnętrza. Chwilę nasłuchiwał, wreszcie wyprostował się i ze sztywno wyciągniętym przed siebie prawym ramieniem wkroczył do środka, lewą ręką przekręcając równocześnie kontakt.

W przeciwieństwie do pokoju, który opuścił przed chwilą, jego apartament przypominał kowbojską knajpę po grubszej bijatyce. Poprzewracane krzesła wały się bezładnie po kątach, zdarta z łóżka pościel leżała na podłodze. Na stole, z którego ściągnięto serwetę, kłębiły się przedmioty, stanowiące zawartość jego starej teczki. Ta leżała porzucona na nagim materacu. Jej otwarta kłapa była przycięnięta nie znanym mu małym kartonowym pudełkiem. Wyjął chusteczkę i podszedłszy do łóżka ujął poprzez nią owo pudełko. Obejrzał je dokładnie ze wszystkich stron, po czym delikatnie otworzył wieczko. Wewnątrz znajdowały się: złoty

męski zegarek, spinki i zwitek zielonych banknotów. Krupa obejrzał starannie zawartość pudełka, niczego nie dotykając, po czym zawinął to wszystko w chusteczkę i wepchnął do kieszeni. Następnie rozejrzał się bacznie po pokoju, zajrzał do szafy, pod łóżko, sprawdził nawet parapet. Wreszcie, stale z obojętnym wyrazem twarzy, skierował się w stronę schodów. Wszystko to, od momentu zauważenia światła w pokoju Żuławskiego, nie trwało czterech minut.

- Kmita! Drożny! Gospodyni!

W ciszy, zalegającej drewniany dom, jego głos zabrzmiał jak sygnał alarmu.

Po dłuższej chwili rozległ się zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. - Ktoś wołał? - w zaspanym głosie Zawodzkiej zabrzmiała nuta lęku.

- Owszem - powiedział, zatrzymując się w połowie schodów. - Proszę zawołać pana Kmitę. Tam - wskazał ręką ku górze - przytrafiło się nieszczęście.

- Jezus, Maria, - co się stało?!!! - Zawodzka oprzytomniała w mgnieniu oka.

- Później - rzucił. - Teraz niech pani zapuka do Drożnego...

- zawiesił głos i zaczął, aż Zawodzka spełni polecenie.

- Mocniej - ponaglił. Wreszcie z pokoju dobiegło głośne ziewnięcie, szuranie krzesła i człapanie do drzwi. - Tak - powiedział Krupa. - Teraz niech pani idzie po tego drugiego...

Zawodzka zniknęła w hallu w tym samym momencie, w którym do sieni wtoczył się Drożny, przecierając oczy obiema pięściami. - Co, do cholery... - wymamrotał - właśnie zasnąłem...

- Zaraz pan usłyszy.

Coś w jego głosie musiało uderzyć Drożnego, bo odjął ręce od twarzy i spojrzał podejrzliwie na sprawcę nocnego alarmu. W sieni ukazali się Kmita i zaraz za nim Zawodzka. Wtedy Krupa szedł kilka stopni niżej i powiedział spokojnie:

- Popelniono morderstwo. Żuławski. Proszę, żeby nikt nie

wchodził na górę. - Obrzucił spojrzeniem szczupłe grono osób, które spędzały z nim tę noc w „Janinie”, i dodał tonem perswazji:

- Nazywam się Bula. Jestem oficerem milicji. Proszę wszystkich o przejście do hallu. Teraz zatelefonuję i przeszukam dom. - Zszedł na ostatni stopień i dodał, patrząc obojętnie przed siebie:

- No cóż, doczekaliśmy się jednak tego Robin Hooda...

## 6.

- Szachy! - pułkownik krążył koło biurka, wymachując nieszczęsnym anonimem. - Morderca zaprasza sobie do kompanii oficera milicji, po czym pod jego nosem wbija człowiekowi nóż w serce. A co robi w tym czasie obywatel kapitan? Oczywiście, gra w szachy!

Bula siedział wygodnie, wpatrując się beznamiętnie w biurko przełożonego.

- Gdzie oni są? - rzucił pułkownik.

- W domu.

- Gdzie?!!!

- W domu - powtórzył spokojnie Bula. - Oczywiście, pod obserwacją - dodał uspokajająco.

- Uhm... - szef po raz ostatni przebiegł wzrokiem anonim, następnie wręczył go kapitanowi i usiadł za biurkiem. Był szczerze wzburzony.

- Mam ci powiedzieć - odezwał się po chwili - na kogo wyszedłeś w tej całej historii?!

Bula przybrał wyczekujący wyraz twarzy.

W tym momencie w drzwiach ukazała się postać kancelisty.

- Obywatelu pułkowniku - zameldował - przyszedł sierżant Czernik.

- Niech wejdzie.

Czernik zatrzymał się przy drzwiach i stuknął obcasami

- Dobra, dobra, bohaterze - przerwał mu pułkownik, widząc, że sierżant przygotowuje się do złożenia meldunku. - Głowa nie boli?

- Nie boli, obywatelu pułkowniku. To znaczy, trochę...

- No, to możecie nią trochę poruszać.

Czernik spojrzał z rozpaczą w oczach na Bule.

- Siadajcie i starajcie się myśleć - zawyrokował pułkownik. Wyjął z tekturowego pudełeczka zwitek dolarów, zegarek,

spinki i ułożył z nich na biurku jakiś fantazyjny korowód.

- Zastanawiałem się właśnie - powiedział zamyślony - zastanawiałem się - powtórzył - ilu ludzi przydzielić do osobistej ochrony - po pierwsze: pracowników mojego wydziału, a po drugie: ich bridżowych i szachowych partnerów...

Zapanowało milczenie.

- No, dobra, jedźmy po kolei - pułkownik „wystrzelał” się widać, bo odsapnął głośno i zmienił ton. - Kiedy zginął Żuławski?

- Między pierwszą a pierwszą trzydzieści - odrzekł Bula. - Takbrzmi orzeczenie lekarskie.

- Narzędzie zbrodni?

- Zawodzka twierdzi, że nigdy nie widziała tego noża.

- Zawodzka?

Z pojedynczych słów, rzucanych ostrym, rzeczowym tonem, wynikało, że pułkownik postanowił dokładnie zorientować się w okolicznościach sprawy. Szef był jednym z najstarszych pracowników komendy i jednym z nielicznych oficerów, którzy w pełni doceniali wartość specyficznego talentu śledczego i nie mniej specyficznych metod kapitana Buli. W życiu prywatnym spotykali się rzadko, ale ich rozmowy i dyskusje, w czasie których nigdy zresztą nie osiągali porozumienia, wprawiały obojdwóch w dobry, rozjaśniający myśli nastrój

- Zawodzka jest jedną z dwóch osób, obecnych tamtej nocy w pensjonacie, które mogły zabić Żuławskiego - powiedział Bula. Zapalił papierosa i poprawił się w fotelu.

- Co o niej wiecie?

- Jest repatriantką. W czterdziestym szóstym dostała mały domek w Osadzie jako ekwiwalent za nieruchomości pozostawione na Wschodzie. Kilka lat prowadziła dom wypoczynkowy pracowników banku... - Bula urwał nagle i zmarszczył brwi. Pułkownik spojrzął na niego badawczo. Chciał coś powiedzieć, zapewne ponaglić kapitana, ale zrezygnował. Na jego twarzy odmalowało się zaciekawienie. Po dobrej chwili

Bula drgnął, przetarł dłonią oczy, następnie spojrział przelotnie na pułkownika i nie zmienionym głosem mówił dalej:

- Potem zamieniła swój domek na większy, oczywiście za dopłatą, i założyła własny pensjonat. Zatrudnia troje ludzi, ale o tej porze roku zostaje zawsze sama. Jej mąż, architekt, zginął w czasie wojny, syn jest dziennikarzem, mieszka w Gdańsku. W Osadzie żyje ze wszystkimi w zgodzie, nigdy nie miała kłopotów z miejscowym komisariatem ani... z wydziałem finansowym. Przyjaźni się z bibliotekarką. To wszystko.

- Kto drugi?

- Kmita. Wprawdzie jedyne drzwi jego pokoju wychodziły do hallu, a tam w tym czasie byli ludzie...

- Jacy ludzie? - nie wytrzymał Czernik. - O pół do drugiej w nocy?

- Obywatel kapitan grał tam w szachy... - wyjaśnił skwapliwie pułkownik. Czernik postanowił trzymać odtąd język za zębami. Tego dnia rano wyszedł z kliniki, gdzie spędził kilkanaście godzin „na wszelki wypadek”, jako że rentgen nie wykazał żadnych wewnętrznych obrażeń - i płonął teraz chęcią aktywnego udziału w tej sprawie, w którą była wmieszana... chociaż, oczywiście, to nie miało żadnego znaczenia.

- Byli ludzie - podjął niezrażony Bula - ale mógł z powodzeniem wyjść przez okno, obejść dom dookoła i wrócić werandą. Drzwi do ogrodu były wprawdzie zamknięte, ale można je otworzyć byle drutem. Poza tym - Bula zdusił starannie papierosa - Żuławskiego mogło zabić kilkanaście milionów ludzi.

Widać było, że pułkownik ma na końcu języka pytanie, czy Bula poważnie dopuszcza ewentualność, że Żuławskiego zamordował ktoś, kto wtargnął do domu nie spostrzeżony przez jego przygodnych mieszkańców. Szef znał jednak dostatecznie dobrze kapitana, aby mógł choć przez moment sądzić, że w tej

fazie śledztwa otrzyma na takie pytanie zadowolającą odpowiedź.

- Dlaczego nie zatrzymaliście tych ludzi na miejscu? Myślę, że niezależnie od kilkunastu milionów, tej czwórce należą się specjalne względy z naszej strony?

- Właśnie dlatego - odparł łagodnie Bula. - Na cóż mogliby się nam przydać... tam. Jeżeli w ogóle będą na tyle głupi, żeby się z czymś zdradzić, to tylko w mieście, w działaniu... Będziemy mieć ich na oku. Niestety, muszę przyznać, że to może znowu narazić kogoś z młodszych funkcjonariuszy na spotkanie z drągiem chuligana... Wiecie, pułkowniku, tłumacząc czasem początkującym kolegom, że istnieją na świecie bezpieczniejsze zajęcia niż praca w naszym wydziale. Oczywiście, mogę się mylić...

- Skąd wiecie, że to był chuligan?

- Bo dopuścił się przestępstwa o charakterze chuligańskim - odparował logicznie Bula - nie miał żadnych racjonalnych powodów, aby walić sierżanta po głowie...

- A może - odezwał się wbrew swemu postanowieniu Czernik - Żuławska miała coś w rodzaju... obstawy?

- O ile się orientuję - powiedział bardzo cicho Bula - obstawa Żuławskiej uciekła na jej widok do bramy...

Czernik zaciął usta.

- Dobra - pułkownik wstał i obciągnął bluzę - nie muszę wam mówić, że sprawa wygląda źle. Mordują człowieka, mając za ścianą naszego oficera, którego tam sami ściągnęli...

- Przepraszam - nie wytrzymał znowu Czernik - skąd wiemy, że mordercą jest autor anonimów? Mógł to zrobić ktoś, kto znał jego plany i postanowił je wykorzystać. Przewidział, że będziemy podejrzewać w pierwszym rzędzie tego Robin Hooda...

- To nawet niegłupie - przyznał uprzejmie Bula. - Szkoda, że bez najmniejszego związku z rzeczywistością.

Pułkownikowi przemknęło nagle przez myśl, że kapitan



rozwiązał już całą sprawę i celowo robi z niego wariata.

Rzucił ostrym tonem:

- Nie przerywajcie. Jutro chcę wiedzieć wszystko o Żuławskim. Spadkobiercy, współnicy, kontakty. Sprawdzić, co naprawdę robiła przedwczoraj jego żona. To samo dotyczy tamtych dwóch. Trzeba szybko wykryć autora tych anonimów, niezależnie od tego, czy jest mordercą, czy nie. W każdym razie ułatwił popełnienie zbrodni.

- Nie - przerwał Bula. - On zabił.

Pułkownik zaczerpnął głęboko powietrza. - Chciałbym się też dowiedzieć - ciągnął - jakim cudem można przewrócić do góry nogami pokój oficera śledczego, kiedy ten siedzi piętro niżej i nie jest załany w trupa. Weźcie techników i zbadajcie to. Poza tym zameldujcie, skąd się tam wzięły te dolary, spinki i zegarek.

- To mogę wam już teraz powiedzieć - mruknął kapitan.

- Zginęły z mieszkania Żuławskich. Przecież to jasne.

- Mówiono mi - Bula rozejrzał się po pokoju i z westchnieniem ulgi zapadł w najgłębszy fotel - że pani wie, kto uderzył Henryka.

- Henryka?

- Sierżanta Czernika, oczywiście - wymieniony odwrócił twarz czując, że rumieni się aż po uszy.

- Tak powiedziałam? - Żuławska podeszła do biurka, otworzyła japońską szkatułkę z błękitnej laki i wyjęła papierosa. - Ma pan zapalki? - odwróciła się do Buli.

- Skocz, synu, do kuchni - poprosił uprzejmie kapitan. Sierżant przeszył go strasznym wzrokiem, ale ruszył posłusznie w stronę drzwi.

- No więc? - podjął Bula.

Żuławska oparła się o krawędź biurka. - Niczego takiego nie mówiłam... - powiedziała powoli. - Znalazł pan? - zwróciła się do Czernika, który wrócił z kuchni dzierżąc w dłoni pudełko zapalek. Zapalając jej papierosa, skoncentrował całą

uwagę na wzorzystym dywanie przed biurkiem. Bula obserwował tę scenę z nieukrywaną satysfakcją.

- Myślę jednak - Żuławska zaciągnęła się głęboko dymem - że gdybym istotnie zwierzyła się z czegoś panu Czernikowi, to w nadziei, że przynajmniej na chwilę przestanie być tylko milicjantem.

- No i pomyliłaby się pani - powiedział chłodno Bula.

- Pomyliłabym się - przytaknęła. - A więc dobrze się stało, że tego nie zrobiłam...

- Oświadczam, kapitanie - zaczął urzędowym tonem Czernik. Bula zamachał ręką.

- Kto, pani zdaniem, mógł sobie życzyć śmierci męża? - spytał.

Żuławska nie odpowiedziała od razu. Zaciągnęła się papierosem, strzepnęła popiół i wolno podeszła do fotela, w którym siedział kapitan.

- Nie wiem - powiedziała krótko.

Bula spojrzał na nią spod oka. - Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że nie możemy poprzestać na tej odpowiedzi. Ostatecznie, szukamy mordercy pani męża.

- Aż tak? - spytała obojętnym tonem Żuławska.

- Nie rozumiem?

- Mniejsza z tym. Nie jestem idiotką. Kiedy ktoś zostanie zabity, zawsze podejrzewa się przede wszystkim jego męża albo żonę, prawda? Tym bardziej, gdy w grę wchodzi małżeństwo... nieudane. Wątpię, czy pan zrozumie to, co powiem, ale... nieraz myślałam, jakby to było dobrze, gdyby Żuławskiego nie było...

- No i doczekała się pani...

- Tego nie należało mówić, kapitanie. Miałam rację, obawiając się, że pan mnie nie zrozumie.

- Droga pani - powiedział Bula tonem łagodnej perswazji

- kiedy miałem siedem lat, moja babcia, która nie widziała świata poza mną, zabroniła mi pójść na imieniny do kolegi.

Przesiedziałem kilka godzin w kucki, za szafą, wymyślając najbardziej wyszukane tortury i słysząc niemal trzask łamanych kości babki. Była to jedna z dwóch osób, które najbardziej w życiu kochałem... Najpocziwшему człowiekowi przychodzi czasem na myśl takie rzeczy, że ich dokładny opis wystarczyłby prokuratorowi do wydania nakazu aresztowania. A jednak tak się składa, że pocziwi ludzie chodzą sobie swobodnie po świecie. Jest bowiem pewna mała różnica. Moja babka dożyła szczęśliwie dziewięćdziesiątki, a pani mąż nie. Bierzemy pod uwagę nie myśli, ale fakty. Czyny.

- Pan kochał swoją babkę. Ja nie kochałam Żuławskiego.

- Aż tak? - spytał z kolei kapitan.

Wzruszyła ramionami. - Pan wybaczy, to są moje czysto osobiste sprawy... - powiedziała.

- A propos spraw osobistych - podchwycił Bula - pani jest bardzo ładna. Czy pani ma kochanka?

Czernik poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

- Nie. Nie mam kochanka - odpowiedziała po chwili głucho. - I nie miałam - dodała, patrząc wyzywająco na kapitana.

- To chyba łatwo sprawdzić. Nie słyszałam jeszcze, żeby komuś udało się załatwić takie rzeczy naprawdę dyskretnie...

- Ja też - przyznał Bula. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wy dobył długi, szpiczasto zakończony nóż.

- Poznaje pani? - rzucił. Żuławska drgnęła. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy wydało się, że traci panowanie nad sobą. Cofnęła się o krok i wyciągnęła rękę w kierunku Buli.

- Czy... to tym? - spytała cicho.

- Poznaje to pani? - powtórzył zamiast odpowiedzi Bula.

Skinęła głową. Widać było, że walczy z narastającym przerażeniem. - Skąd...? - wykrztusiła z trudem - skąd się to tam wzięło?

- Do czego używała pani tego noża?

- Przeważnie do krajania mięsa - odpowiedziała machinalnie i wzdrygnęła się, uprzytamniając sobie makabryczne

skojarzenia, narzucające się w tej sytuacji.

- Sama pani mówiła - powiedział obojętnym tonem Bula, chowając nóż - że złodziej czy złodzieje, którzy włamali się do waszego mieszkania nie dotarli do kuchni. Czyżby pan Żuławski trzymał ten nóż w biurku?

- Skądże... był zawsze w kuchni.

Bula przytaknął ruchem głowy. Wyjął z kieszeni spinki, zegarek i zwitek dolarów.

- Poznaje pani? - podsunął jej pod oczy rozpostarte dłonie, pokazując przedmioty podrzucone do jego pokoju w „Janinie” owej dramatycznej nocy.

- Tak - szepnęła Żuławska. - To są rzeczy Zdzisława... to właśnie te pieniądze widziałam wtedy w sejfie... Miał to przy sobie?

„Pierwszy raz nazwała go po imieniu” - pomyślał Czernik.

Bula z nieukrywanym zadowoleniem schował wszystko z powrotem do kieszeni. - Zorientowała się już pani - pytał dalej - co poza tym zginęło z mieszkania?

Pokręciła przecząco głową. Jej włosy zafalowały. Czernik odruchowo przesunął ręką po szyi, tam gdzie musnęły go wtedy, kiedy leżał po napadzie u „pani Helenki”.

- Czy podtrzymuje pani swoje zeznanie dotyczące dnia morderstwa? - ciągnął Bula - to znaczy, czy rzeczywiście robiła pani wszystko to i w takim czasie, jak to zanotował sierżant Czernik?

- Oczywiście.

- Państwo macie garaż przy domu. - Czernik mimo woli spojrzął na kapitana z niedowierzaniem. Pamiętał, że kiedy wchodzili do domu, Bula sprawiał wrażenie człowieka zatonionego w rozmyślaniach i całkowicie ignorującego otoczenie. Gdyby znał nieco lepiej swojego szefa, wiedziałby już, że ów garaż, chociaż wcisnięty za dom, to była drobnostka w porównaniu z innymi zaskakującymi dowodami spostrzegawczości i pamięci kapitana, składanymi wtedy, kiedy każdy z towarzy-

szących mu funkcjonariuszy mógłby przysiąc, że Bula jest pochłonięty bez reszty, dajmy na to, naklejaniem znaczka na kopertę.

Żuławska, oczywiście, przyjęła jako rzecz naturalną fakt, że kapitan wie o garażu, i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Mogłaby nas tam pani zaprowadzić? - dokończył wstając.

- Porsche - mruknął Czernik z mimowolnym podziwem. Bula spojrzał na niego przelotnie.

- Kiedy kupiliście państwo tego volkswagena? - spytał, kładąc rękę na masce. Gwoli sprawiedliwości trzeba zaznaczyć, że był to Volkswagen z włoską karoserią „Karman Ghia”, niskie, opływowe coupé, istotnie podobne w linii do porsche'a.

Niemniej jednak - o męska naturo - Czernik od tego momentu zaciął się na dobre w swojej niechęci do... Żuławskiej.

- Na wiosnę To znaczy - dodała - mój mąż kupił...

- Ciekawe - Bula gładził w zamyśleniu chromowaną oprawę reflektora - dlaczego pani mąż pojechał tamtego dnia do Osady autobusem...

- Padał deszcz - odparła krótko Żuławska. - Mąż starał się jeździć tylko w ładną pogodę. Obchodził się z samochodem jak z dzieckiem. Nic dziwnego - dodała z gorzką ironią - kosztował tyle pieniędzy.

- Bardzo ładny - przyznał Bula. - Szybki?

Żuławska ożywiła się nieco. - Świetny - powiedziała z przekonaniem. - Ja bardzo rzadko prowadziłam... pięć, sześć razy. On tego nie lubił. Ale to była prawdziwa przyjemność.

- Dobrze pani jeździ ?

- Dobrze - powiedziała. Sądząc z jej głosu można było być pewnym, że istotnie jeździ dobrze.

- Pani oczywiście wiedziała, że mąż wyjeżdża z miasta... po południu jedenastego listopada?

- Wspominał coś rano przy śniadaniu. Nie wiedziałam jednak, dokąd jedzie Zresztą, pytał już o to pan Czernik - Żuławska mówiąc to wpatrywała się cały czas w kapitana, jakby chcąc podkreślić swój absolutny brak zainteresowania osobą młodego sierżanta.

- Musi pani być przygotowana na to, że niektóre pytania będziemy powtarzać - rzucił sucho Bula. - O ile pamiętam - podjął poprzednim tonem - tamtego dnia lało bez przerwy?

- Chyba tak... - odpowiedziała z wahaniem gospodyni. Wsunęła się z garażu i oparła plecami o bramę.

- Wobec tego pani wiedziała, że mąż nie pojedzie samochodem. Czy w związku z tym nie przyszło pani na myśl przejechać się trochę, chociażby tak ot, bez celu?

- Nie ruszałam wozu. Jeżeli nawet przyszło mi to na myśl, to przecież sam pan przed chwilą powiedział, że liczą się nie myśli, a fakty.

Bula zerknął na nią spod oka. Teraz dopiero przyznał w duchu rację Czernikowi, który przedstawił mu Żuławską jako kobietę niezwykle opanowaną i zachowującą zimną krew w trudnych sytuacjach.

- Wtedy wieczorem, kiedy napadnięto sierżanta Czernika, pani znalazła się natychmiast w pobliżu. Czy to był przypadek?

- Przypadek? Nie wiem, co pan przez to rozumie. Wracałam od rodziców. Jeśli chodzi o pana Czernika... nawiasem mówiąc, już wcześniej chciałam o coś zapytać: jeżeli nawet teraz jestem podejrzana o morderstwo, to nie mogłam nią być wtedy, jedenastego... chociażby tylko dlatego, że mój mąż żył jeszcze wtedy. Dlaczego więc pana człowiek mnie śledził?

Ten „pana człowiek” spadł na Czernika jak gradowa chmura. Chciał zaprotestować, otwierał już usta, prostując się odruchowo, ale Bula nakazał mu ruchem ręki milczenie.

- Każdy z nas robi to, co do niego należy... - powiedział sentencjonalnie. - Sierżanta napadnięto, o ile pamiętam, o... -

zawiesił głos.

- Wyszłam od rodziców parę minut przed dwunastą. Mieszkają kilka kroków dalej, więc... zresztą, pogotowie przyjechało piętnaście po dwunastej. To przecież można sprawdzić.

Bula skinął poważnie głową. - Co robiła pani tej nocy po odjeździe pogotowia i milicji?

- Jak to co? Poszłam do domu.

- Od razu?

- Od razu. Było już późno, a pani Helenka, to znaczy Cieślakowa, zazwyczaj bardzo wcześniej wstaje.

- Do domu szła pani sama?

- Sama.

- W domu, oczywiście, nie było nikogo?

- Oczywiście. O tej porze... Nie rozumiem, o co panu chodzi...? - Żuławska spojrzała na niego z niekłamanym zdumieniem. Raptem zeszytniała. Zerknęła na samochód.

Po czym przeniosła wzrok na Czernika, jakby szukając u mego ratunku.

- Rozumiem... - powiedziała powoli, ochryłym głosem.

- Pan myśli, że ja...

„Do Osady jest mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów - przemknęło przez myśl Czernikowi. - Dla takiego wozu to fraszka. To nie ja ją śledziłem, tylko ona mnie. Specjalnie zaaranżowała napad, żeby zdobyć alibi. Rzeczywiście, trudno o lepsze. Ratowanie napadniętego milicjanta tej samej nocy, której...”

- Kapitanie! - Czernik odruchowo pociągnął Bulę za rękaw.

- Muszę wam coś powiedzieć!

- Poczekaj, synu - sierżant ze zdumieniem dostrzegł na twarzy Buli coś na kształt uśmiechu - zaraz pogadamy.

Rad nierad Czernik odstąpił o krok i zatrzymał się u wejścia do garażu, spoglądając na Żuławską z ukosa. Stała z opuszczoną nisko głową, włosy opadły jej na twarz, przypo-

minała teraz sierżantowi jakąś alegoryczną postać ze znanej rzeźby czy obrazu... nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to widział, ale wrażenie było przejmujące. Miała na sobie tę samą sukienkę, jak wtedy, kiedy zobaczył ją pierwszy raz, po włamaniu. „Włamaniu” - pomyślał z goryczą. Że też od razu nie przyszło mu to na myśl. Zwykła, banalna zbrodnia. Samochód musiała zaparkować w pobliżu. Dwadzieścia po dwunastej była już w drodze do Osady. Zrobiła swoje i wróciła, zanim kapitan skończył partię szachów... W nocy, na pustej szosie... sama przyznała, że dobrze jeździ. A te listy to po prostu kamuflaż. Spędziła kilka osób, nie związanych żadnymi interesami, przewróciła do góry nogami pokój kapitana... ale skąd wiedziała, w którym pokoju nocuje Żuławski? I Bula?

- No, synu - ponaglący głos kapitana dobiegł jakby ze znacznej odległości. Czernik oprzytomniał. Bula znajdował się już w połowie drogi do furtki. Żuławska, wciąż ze spuszczoną głową, postępowała tuż za nim. Czernik przymknął odruchowo jedno skrzydło ciężkich drzwi garażu i pośpieszył do wyjścia. Stojąc już w furcie, Bula odwrócił się do Żuławskiej:

- Pani mąż zostawił rodzinę?

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy. - Jakichś dalekich kuzynów w Krakowie... jego rodzice zginęli w czasie wojny. Nie miał rodzeństwa.

- Jednym słowem, pani jest jedyną osobą, która dziedziczy jego majątek - stwierdził obojętnie. - Nie wie pani, ile tego jest?

- Nie mam pojęcia... - wyszeptwała. Podniosła wreszcie głowę i spojrzała Buli w oczy. - Ja go nie zabiłam - powiedziała głośno. Kapitanowi wydawało się, że pochwycił w jej wzroku błysk determinacji i jakby upor.

- Czekaj, synu - Bula przytrzymał Czernika za rękaw w chwili, gdy ten postawił już nogę na stopniu samochodu. - Kamuflaż, mówisz? - puścił sierżanta i zamyślił się.

- Jedziemy? - zniecierpliwził się wreszcie kierowca.



- Zaraz - burknął Bula. Wyjął z kieszeni mały, wymięty notesik, długopis i zapisał szybko - jak ocenił sierżant - jedno tylko słowo. Następnie schował notes i pomedytowawszy jeszcze chwilę, wgramolił się do łazika.

- Dworzec autobusowy - rzucił. Kierowca skinął głową i zapuścił silnik. Po dobrej chwili kapitan odezwał się, nie odwracając głowy, do siedzącego na tylnym siedzeniu Czernika:

- Na razie zapomnij o tym wszystkim, co mi mówiłeś. Kamuflaż... Synu, to ci się udało...

Czernik nie odpowiedział. Pochwała z ust kapitana Buli - to było coś, co zdarzało się jeszcze rzadziej niż przeoczenie przez kapitana Bulę najdrobniejszego chociażby uchybienia obowiązkowi służbowym ze strony któregośkolwiek z podległych mu funkcjonariuszy. A kapitan Bula nigdy nie przeoczą! uchybień swoich podwładnych.

- Po co jedziemy na dworzec? - spytał wreszcie Czernik.

- Po bilet - odparł lakonicznie Bula.

- Bilet?

- Chyba że wolisz jechać pociągiem i przejść się czternaście kilometrów piechotą...

Czernik nie wołał, zwłaszcza że zaczynało mu świtać, o co chodzi szefowi. - Jedziemy do Osady? - spytał.

- Nie wszyscy - sprostował Bula. - Ja już tam byłem.

- Co mam zrobić?

- Obejrzyj sobie dokładnie ten dom i jego otoczenie. Skoro chcesz dalej pracować przy tej sprawie...

Stanęli obok świeżo pomalowanej szopy, mieszczącej kasy i salony recepcyjne dworca autobusowego, prowizorycznego od ...nastu lat. Czernik, stojąc już na chodniku, spytał:

- Poczekacie na mnie, obywatelu kapitanie?

- Nie, synu - powiedział smutnym głosem Bula. - Tam będzie pewnie kolejka, a ja mam jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia. Pojutrze, w komendzie, sierżancie - zakończył, dając znak kierowcy, że może jechać.

Czernik spoglądał chwilę za oddalającym się łazikiem,

wreszcie odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w stronę kas biletowych.

- Osiem... dziesięć... dwanaście - liczył głośno Bula, obserwując oszklone skrzyneczki nad bramami domów. - Tutaj.

- Po kilku minutach stanął przed drzwiami mieszkania na parterze. Obok starannie pomalowanej blaszanej puszkii na listy widniała tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem: Helena Cieślak. Zapukał. - Zaraz, zaraz - odpowiedział niemal natychmiast podniesiony kobiecy głos. Słowom towarzyszył stuk zasuwanych szuflad, brzęk naczyń, wreszcie zgrzytnął zamek i w uchylonych drzwiach ukazała się głowa starszej, tęgiej kobiety.

- Pan do kogo? - twarz Cieślakowej była czerstwa, gładka, jedynie cienie pod oczyma i dwie zmarszczki dokoła ust nadawały jej wyrazu zmęczenia, a raczej znużenia. Spojrzenie miała jednak ciekawe i pogodne pomimo napiętej uwagi z jaką czekała, aż mężczyzna przedstawi cel swojej niespodziewanej wizyty.

- Jestem z milicji - powiedział Bula, sięgając po legitymację.

- Z milicji? - zdziwiła się kobieta. - Aa - domyśliła się - pewnie chodzi o tego z rozbitą głową. Niech pan wejdzie - przepuściła kapitana i zamknąwszy za nim drzwi, pozostała przy nich, odruchowo rozwiązując kolorowy fartuch.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Czernik. Jedyne białe firanka w oknie była rozsunięta, co pozwalało delektować się widokiem stojących na parapecie pękających butli z borówkami, porzeczkami i innymi wspaniałościami, wystawiającymi chlubne świadectwo kulinarnym talentom gospodyni.

- Powiedziałam już wszystko tym, co wtedy po niego przyszli - odezwała się Cieślakowa.

- Nazywam się Bula - kapitan spojrzał na nią spod oka i zawiesił głos. Rozejrzał się dokoła, po czym usiadł wygodnie w kącie metalowego łóżka. - Od jak dawna mieszka pani w tym domu? - spytał, sięgając po papierosa.

- Oo, panie władzo! - kobieta uśmiechnęła się - od takiego! -jej ręka, uniesiona kilkanaście centymetrów nad podłogą, pokazała, o jak małego bębna chodzi. - Rodzice przyjechali z Poznańskiego - wyjaśniła. - Ojciec bił się w powstaniach... tam i tutaj.

- Widzi pani - powiedział uprzejmym tonem Bula - ktoś napadł na funkcjonariusza milicji. Podobno był już w bramie waszego budynku, kiedy wszedł tam sierżant wie pani, o kogo chodzi... Tu w okolicy mieszkają pewnie różni ludzie. Jak wszędzie, zresztą. Musi ich pani znać. Proszę mi powiedzieć, czy macie tutaj jakichś notorycznych pijaków, chuliganów? Jednym słowem, czy nie domyśla się pani, kto mógł uderzyć tego milicjanta?

Kobieta zamachała gwałtownie rękami. - A niechże mnie ręka boska broni - wykrzyknęła - żebym miała mówić na kogoś coś takiego... Pewnie, że różni ludzie tu mieszkają! Taki Filipczak na przykład. Co drugi dzień przychodzi pijany jak - z przeproszeniem - Świnia. A potem wymyśla żonie i tłucze talerze. Czasem przez trzy dni nie wraca do domu. Z pracy to go co trzy miesiące wywalają! A on nic, pije dalej. Filipczakowa pranie do domu bierze, a jak gdzieś pójdzie, to ludzie dają jej - to trochę zupy, to tam czegoś... Bo w domu już tylko puste ściany. Wszystko wyniósł. To jest prawdziwe nieszczęście, panie władzo... Już, już daję - poderwała się i podsunęła kapitanowi szklaną popielniczkę. Istotnie, czas był już najwyższy. - Albo ten inżynier z pierwszego piętra - podjęła ochoczo. Najwyraźniej postanowiła przekazać Buli całą swoją wiedzę, zapewne gruntowną i obszerną, która mogłaby posłużyć niejednemu socjologowi jako materiał do dojrzałych dysertacji. Kapitan spojrzał nerwowo na zegarek. Przyszedł tu z określonym celem, który nie miał nic wspólnego z ewentualnymi domniemaniami Cieślakowej co do osoby wałęsającego się po bramach bandziora. Wiedział jednak z długoletniego doświadczenia, jak łatwo jest dotknąć takie „panie Helenki”,

nie wykazując dostatecznego zainteresowania tym, co mają do powiedzenia. Obrażone zacinają się, milkną i nie można z nich petem wydobyć słowa.

Wysłuchał więc cierpliwie iście rabelaisowskiej opowieści o paniach odwiedzających inżyniera pojedynczo i gromadnie, o sprośnych śpiewach i o tym, co oglądają dzieci sąsiadów, kiedy, a zdarza się to nagminnie, inżynier zapomni zasunąć firanki. Kiwał przy tym głową ze zrozumieniem, patrzył poważnie Cieślakowej w oczy i sprawiał wrażenie przeżywającego jej relacje najszczerzej, jak to tylko możliwe.

- Więc widzi pan - podsuwała wreszcie Cieślakowa - ludzie tu rzeczywiście różni mieszkają. Ale żeby napadać po bramach... ja bym tam nigdy nie powiedziała o kimś coś takiego...

Bula ożył. Poprawił się na łóżku, zdusił papierosa i spytał:

- Ta pani, która tutaj wtedy była, także chyba nie będzie wiedzieć?

- Elżunia?! - obruszyła się kobieta, - A skądże by ona miała znać jakichś tam bandziorów! To jest takie dobre dziecko... zawsze taka była.

- Znają pani od dawna?

- Od urodzenia. Wychowała się pod moim okiem. Niech no pan podejdzie - odwróciła się do okna i rozkazującym gestem przywołała kapitana do siebie. - O - mówiła, pokazując podwórce - tam w tym drugim domu mieszkają jej rodzice.

Było to nieduże, szare podwórko, wciśnięte między budynek, w którym się znajdowali, oraz drugi, zbudowany prostopadle do niego i dwie tylne, ślepe ściany sąsiednich posesji.

- Chciałbym prosić - Bula odszedł od okna i założywszy ręce na piecach zaczął krążyć po izbie - żeby mi pani powiedziała jeszcze coś o tamtym wieczorze, jedenastego listopada. Właściwie - poprawił się - to już była noc. Nie spała pani jeszcze?

- Ja? Panie władzo, w moim wieku człowiek nie śpi już tak

jak za młodu. Zresztą, miałam robotę. Prasowałam koszule Siwka, tego z pierwszego piętra...

„Sąsiada frywolnego inżyniera” - przemknęło przez myśl kapitanowi. Spytał szybko: - Nic pani nie słyszała?

Cieślakowa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dopiero kiedy przyszła ta... Żuławska, zdaje się?

- Elżunia? Tak, Żuławska. Wpadła jak bomba i woła, że w bramie leży człowiek, milicjant w mundurze, i że trzeba zadzwonić po pogotowie.

Bula rozejrzał się odruchowo po pokoju. - Ma pani telefon? - spytał.

- Siwkwie mają. Tu zaraz nade mną. Ale ja ją zatrzymałam. Pogotowie - mówię, pogotowiem, a człowiek nie może leżeć w bramie. No więc poszliśmy i przyniosliśmy go tutaj, na to łóżko, na którym pan siedział, i dopiero wtedy zbudziłam Siwków. Kiedy zesłam, już się budził. Dawałam mu spirytusu, ale nie chciał... - Buli wydało się, że w głosie kobiety zadrgała nutka dezaprobaty.

- No i co było potem?

- Potem? Potem go zabrali i to wszystko. Pogotowie odjechało, ale została milicja. Całą noc łazili. Przyjechali psa, potem przyjechał jeszcze jeden samochód. Ale szukaj wiatru w polu. Deszcz padał, to pies zgłupiał...

- A Żuławska została tutaj z panią?

- Skądże. Taki jeden starszy zapisał tylko jej nazwisko i adres i kazał jej iść do domu. Chcieli ją nawet odwieść, ale powiedziała, że woli się trochę przejść po tym wszystkim.

- Nie pamięta pani, kiedy przyjechało pogotowie?

Ku jego zdumieniu Cieślakowa uśmiechnęła się i powiedziała z przekonaniem: - Było siedemnaście minut po dwunastej. Czas zgadzał się co do minuty z tym, co Bula znalazł w protokole sporządzonym przez funkcjonariuszy komendy dzielnicowej, którzy przyjechali wtedy na wieść o napadzie. Widząc jego zdumienie kobieta wyjaśniła: - Pan Siwek był

ciekaw, jak szybko przyjadą, i specjalnie patrzył na zegarek...

To było jasne. Pozostało jedno jedyne pytanie. To właśnie, z którym tutaj przyszedł.

- Zabrali sierżanta od razu, prawda? I Żuławska wyszła zaraz potem?

- Szybko się uwinęli. Nałożyli mu tylko plaster i pojechali. Mówili, że trzeba przeświecić, że z głową to nigdy nic nie wiadomo. Wszystko razem nie trwało nawet dziesięciu minut.

- Czyli że pani Żuławska wyszła stąd najpóźniej dwadzieścia po dwunastej... - mruknął jakby do siebie Bula.

Cieślakowa obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- O co panu chodzi...? - spytała napastliwym tonem. - Jeżeli coś z Elżunią... - nie skończyła. Kapitan zapewnił ją szybko, że z Elżunią jest wszystko w porządku, niemniej jednak od tego momentu temperatura rozmowy znacznie opadła. Zwłaszcza że po kilku minutach oględnego kołowania Bula znowu zaczął mówić o Żuławskiej.

- Więc mówi pani, że jej rodzice mieszkają tuż obok. Front tamtego domu wychodzi na ulicę Jagiellońską, prawda?

Przytaknęła milcząco.

- Jak oni się nazywają?

- Pacułowcie.

- I mówi pani - zaryzykował jeszcze Bula - że córka często ich odwiedza?

- Bardzo często. To bardzo dobre dziecko. I taka ładna! Kiedy była mała, nazywała mnie cicią Helenką... - najwidoczniej Elżunia była tematem, przy którym Cieślakowa zapomniała o wszystkich wątpliwościach i podejrzeniach. - Kupowałam jej czasem cukierki czy jakieś łaszki... - uśmiechnęła się tkliwie do swoich myśli - bo u Pacułów nigdy się nie przelewało. Dopiero od kiedy Elżunia wyszła za tego mache-ra... - uśmiech znikł z twarzy kobiety.

- Kiedy to było? - spytał Bula.

- Kiedy się pobrali? Dwa lata temu, na Wielkanoc. Byłam

na ślubie, ale na wesele nie poszłam...

- Żuławska pani nie zaprosiła?

- Co pan? - obruszyła się kobieta - jasne, że zapraszała. Ale on... zresztą co tam, panie władzo. Takie tam sprawy. Żeby tylko jej dobrze było...

- Nie są szczęśliwym małżeństwem?

Cieślakowa wzruszyła ramionami - A bo ja wiem... szkoda jej dla takiego... - machnęła pogardliwie ręką. - Tyle tylko - dodała po chwili - że ptasiego mleka jej teraz nie brakuje. Willa, samochód. Za granicę jeździ... Ale co z tego - zaperzyła się nagle - o wszystko musi prosić. Ja bym tam wołała kamienie rąbać na ulicy. Ten Żuławski kupuje jej ciuchy, bo lubi się nią chwalić. Że niby taka elegancka i ładna. Pewnie! Ale to stary kutwa, panie władzo. Jak Elżunia chce pomóc rodzicom, to musi sobie dobrze nałamać głowę, żeby coś od niego wydebić!

- Mówiła to pani?

- Co miała mówić?! Znam ją przecież. Ona nie z tych, co to lubią biadolić. Ale ja swoje wiem - zakończyła z przekonaniem.

- Koty - mruknął Bula, pociągając nosem. Zszedł po kilku wydeptanych schodkach do wąskiej, odrapanej sieni i wy dostał się na podwórko. Krocząc ostrożnie po „kocich łbach”, prowadzących do sąsiedniej bramy, rozglądał się dokoła. Skok z takiego podwórka do luksusowej willi, ekskluzywnych wycieczek i własnego, drogiego samochodu, mógł z pewnością zawrócić w głowie niejednej „dobrej Elżuni”. A historia roi się od przykładów, do czego zdolna jest kobieta, której przewrócono w głowie.

Bula pomedytował chwilę, po czym wszedł do tylnej bramy budynku, którego front wychodził na ulicę Jagiellońską. Zatrzymał się na moment przed spisem lokatorów, by następnie rozpocząć mozolną wspinaczkę wysokimi, drewnianymi schodami na trzecie piętro. Wreszcie stanął przed drzwiami opatrzonymi mosiężną tabliczką: A. L. PACUŁOWIE.

## 7.

- Chciałbym pójść teraz na górę - Czernik zamknął notes, wstał i spojrzał pytającym wzrokiem na Zawodzką.

- Proszę bardzo - zerwała się i zatarła bezradnie ręce. Jej niespokojne spojrzenia i drganie ramion dowodziły, że nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, wywołanego dokonaniem pod jej dachem morderstwem.

Czernik pośpieszył z zapewnieniem, że doskonale zna rozkład domu z relacji kapitana i że nie chciałby jej fatygować. Potrzebował spokoju. Gospodyni zresztą również, czemu dała wyraz, godząc się na propozycję puszczenia sierżanta samopas z widoczną ulgą. Poprosiła tylko, żeby ją zawołał, jeżeli będzie czegoś potrzebował, i zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

Wszystko wyglądało tak, jak krytycznej nocy jedenastego listopada. Czernik po zapoznaniu się z protokołami i rozmowie z kapitanem byłby w stanie narysować to wnętrze i jego skąpe umeblowanie z zamkniętymi oczyma. Tylko krzesło, które stało wtedy koło łóżka, wróciło na swoje miejsce przy stole, sprzątnięto również kołdrę i pozostałą pościel. Na podłodze pozostały jednak zakreślone białą kredą kontury zrzuconego wtedy nakrycia i miejsce, w którym stało krzesło.

Czernik zdjął płaszcz i usiadł na łóżku. Przesunął dłonią po szorstkim pokryciu materaca i po chwili wahania rozciągnął się jak długi, podsuwając ramiona pod głowę. Na parapecie zabręczała nagle jakaś zapóźniona mucha.

Tak leżał wtedy Żuławski.

W wyobraźni młodego sierżanta zaczęła się kształtować jakaś nie bardzo jeszcze określona wizja. Pukanie do drzwi... nie, nie było pukania. W uśpionym wiejskim domu ktoś musiałby je usłyszeć. Morderca miał zatem klucz. Albo wytrych. Technicy stwierdzili zresztą, że zamek był świeżo naoliwiony, a Zawodzka utrzymywała, że nic o tym nie wie. Zawodzka... dziwna kobieta. Żyje sama jak palec, nie jeździ do miasta.



Odcięła się od świata, wygląda na to, że jedynym zajęciem, jakie ją absorbuje, jeżeli to naturalnie można nazwać zajęciem, jest przywoływanie przeszłości. Syn przyjeżdża do niej raz, najwyżej dwa razy do roku. Dlaczego? Przecież jako dziennikarz z pewnością mógłby sobie wykroić częściej dzień czy dwa na odwiedziny tak bardzo samotnej matki. Warto sprawdzić, czy Zawodzka posyła mu pieniądze... Taki pensjonat musi przynosić niezły dochód. Ciekawe, ile udało jej się odłożyć w PKO? I co w ogóle robi z pieniędzmi. Dom nie wygląda na to, żeby chętnie dokonywano w nim jakichś oszałamiających inwestycji. Czernik wyciągnął z wysiłkiem rękę, sięgnął po notes i zapisał: „Zawodzka. Pieniądze, syn?” Położył notes obok siebie i wrócił do poprzedniej pozycji. Właścicielka „Janiny” mogła popełnić tę zbrodnię bez najmniejszych trudności. Ona najlepiej wiedziała, gdzie kto śpi, jak poruszać się cicho po domu, jej wizyta nie zaskoczyłaby żadnego z gości. Nawet w nocy. Mogła powiedzieć, że coś się stało, że ktoś wołał, zresztą byle co.

Tak, ale czy ściągałaby ofiarę tutaj, gdzie na nią pierwszą musiało paść podejrzenie? I to w tak osobliwy sposób? A może właśnie na to liczyła. Prawda, która jest za blisko, pozostaje często nie zauważona. No, dobrze, a powód? Motyw?

Czernik westchnął i przewrócił się na bok. Wbił wzrok w pociągnięte białym lakierem drzwi. Z całą świadomością próbował teraz przywołać wizje, które go nawiedziły, kiedy znalazł się w tym pokoju. Nie było pukania... W pewnym momencie klamka opadła powoli i drzwi zaczęły się otwierać. W pokoju było ciemno. Morderca wsunął najpierw głowę, chwilę może jeszcze nasłuchiwał, czy nikt nie idzie, po czym... nie, jeszcze nie. Zapalił światło. Podeszedł do stołu, wziął krzesło i postawił je obok łóżka. Usiadł. Czy Żuławski spał jeszcze wtedy? Co czuł zbrodniarz, siedząc tak blisko niego i przypatrując się jego twarzy... Twarzy, którą miał pozostawić z grymasem koszmarnego strachu, zastygłą w wyrazie beznadziej-

nego, rozpaczliwego wysiłku.

Siedział tuż koło łóżka. Wystarczy sięgnąć ręką, aby dotknąć miejsca, w którym znajdowały się wtedy jego kolana. Jaką twarz miał ten człowiek? Czy była to twarz mężczyzny, czy kobiety? Czernik zamknął oczy. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zobaczył przed sobą pełne, pięknie wykrojone usta i śniade czoło, okolone połyskującymi miodowo włosami. Te włosy przypominały w rysunku odwrócone połówki szlachetnej greckiej amfory. Żona... Jej wejście w nocy tutaj, do tego pokoju, byłoby dla Żuławskiego ogromnym zaskoczeniem. Zaskoczeniem, tak - ale nie powodem do wszczęcia alarmu. Trudno przypuścić, by posłużyła się wytrychem. A więc jednak klucz.

Jak to było z tym zamkiem? Zawodzka przysięgała, że nie oliwiła zamków przy drzwiach od dobrych kilku miesięcy. Jeżeli jednak Żuławski zamknął się na noc na klucz, to ten powinien był tkwić w zamku. Czernik uzmysłowił sobie, że on sam, nocując na przykład w hotelu, miał zwyczaj kłaść klucz na stoliku koło łóżka. Na to jednak zbrodniarz nie powinien był liczyć. Gdyby Żuławski pozostawił klucz w zamku, wtedy manipulując wytrychem lub dorobionym kluczem, byłby go musiał wypchnąć, a to narobiłoby hałasu. W pewnym momencie Żuławski zobaczył nad sobą nóż... Czernik odruchowo otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok padł na dużą szafę, zagrządzającą drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Kiedy przyjeżdżała liczniejsza rodzina i wynajmowała dwa pokoje, szafa wędrowała zapewne dalej, pod ścianę.

Nagle coś go tknęło. Zerwał się szybko i podszedł do szafy. Ostrożnie przekręcił klucz. Obydwa skrzydła szerokich, drewnianych drzwi otworzyły się powoli pod wpływem własnego ciężaru, nie wydając najłżejszego szmeru.

Wspiął się i dotknął wewnętrznej strony zawiasów, po czym podniósł rękę do oczu i obejrzał ją dokładnie. Na dwóch

środkowych palcach widniały brązowe plamy. Był to ponad wszelką wątpliwość smar - taki sam, jakim naoliwiono zamek przy drzwiach.

A więc to tak - zaśpiewało mu w uszach. - To tak...

Nisko pochyłony, badał dno szafy. Dykta, stanowiąca jej tylną ścianę, trzymała się na dwóch zakrzywionych gwoździach. Widział je wyraźnie, szafa była stara i rozeschnięta, po obu stronach ścianki widniały szerokie szpary. Cofnął się i wyszedł na korytarz. Sąsiedni pokój był otwarty. Wszedł do środka i bez chwili wahania skierował się w stronę drzwi, za którymi znajdowała się szafa z naoliwionymi zawiasami. Otworzyły się natychmiast. Łebki zakrzywionych gwoździ nie stawiały najmniejszego oporu. Po kilku sekundach trzymał już oburącz dużą płytę, stanowiącą połowę tylnej ściany szafy. Oparł ją o ścianę i zniknął w prostokątnym drewnianym tunelu, prowadzącym do pokoju, gdzie zginął Żuławski. Opuściwszy szafę, skierował się ku drzwiom, wychodzącym na korytarz. Jeszcze raz obejrzał uważnie zamek, tym razem od wewnątrz. Wszystko stawało się jasne. Zamek naoliwił ktoś, kto znajdował się wewnątrz pokoju. Świadczyły o tym ślady smaru powyżej dziurki od klucza. Nikt nie byłby w stanie dokonać tego z korytarza. Czernik wyprostował się powoli. Siedział w Osadzie już drugi dzień. Niewiele udało mu się dotychczas dowiedzieć. Pochodził, pogadał z ludźmi, sprawdził znajomości i kontakty Zawodzkiej, dzisiaj rano odbył długą rozmowę z nią samą... Teraz sytuacja się zmieniła. Zastanowił się przez moment, czy nie powiedzieć gospodyni o swoim odkryciu. Trudno przypuszczać, by któryś z przygodnych gości założył z góry wykorzystanie drogi przez szafę. To wskazywało już wyraźnie na Zawodzką lub kogoś, kto bywał często w jej domu. A więc nie Kmita. Sama powiedziała, że widziała go tamtego wieczoru po raz pierwszy. Gdyby się zorientowała, że sierżant odkrył to przejście... może ze strachu popełniłaby jakąś nieostrożność. Albo próbowałaby się go pozbyć. Wte-

dy... Czernik poczuł na plecach miły dreszczyk. Gdyby mu się udało wrócić z mordercą... Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Zawodzkiej nic nie wolno mówić. Nie będzie też telefonował, w każdym razie nie z tego domu, gdzie bez trudu mogła podsłuchać każdą rozmowę. Postanowił jednak, że zostanie tutaj na jeszcze jedną noc. U kapitana miał się zameldować dopiero następnego dnia rano. Wyjedzie pierwszym autobusem. Nagle zasępił się. Jak to możliwe, że chłopcy z technicznej przeoczyli ten zamek i tę szafę? Szukali wprawdzie czego innego, ale mimo wszystko było to wręcz nieprawdopodobne. Ciągłe nachmurzony wrócił powoli do łóżka, na którym zamordowano Żuławskiego. Sięgnął po notes i zaczął pisać. Odkrycie, którego dokonał przed chwilą, wydało mu się już mniej interesujące. Napisał kilka zdań, po czym wyprostował się powoli. Nagle drgnął. Odłożył długopis i notes, następnie wstał i szybkim krokiem wyszedł na korytarz. Po chwili zatrzymał się pośrodku pokoju, który owej feralnej nocy Zawodzka przeznaczyła dla kapitana Buli. Tutaj wszelkie ślady wydarzeń, jakie rozegrały się wtedy, były już starannie usunięte. W pokoju panował wręcz idealny ład. Łóżko, z którego sprzątnięto pościel, było zasłane czystym kocem z anilany. Czernik obrzucił spojrzeniem okno z szerokim drewnianym parapetem, po czym skierował się prosto w stronę szafy, wstawionej podobnie jak w pokoju Żuławskiego we framugę wewnętrznych drzwi. Nie potrzebował nawet dwóch minut, aby się przekonać, że obydwie pomieszczenia łączy takie same przejście, jak po przeciwnej stronie korytarza. Z tym, że tutaj zawiasy, na których poruszały się drzwi szafy, nie były naoliwione i gwoździe, przytrzymujące tylną ściankę, nie obracały się tak lekko. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że morderca nie musiał wiedzieć, gdzie będzie nocował Żuławski. Wystarczyło, aby dostał jeden z czterech pokoi na piętrze.

Więc kto? Żuławska? Wyobrazil sobie jej kocie, zwinne

ruchy, kiedy przekrada się z nożem do pokoju, w którym śpi jej mąż. Zawodzka? Ale dlaczego? Kmita? Jedno było pewne - morderca nie liczył na przypadek, sprzyjający zbieg okoliczności. Działał według starannie opracowanego planu, niesłychanie konsekwentnie. Świadczyły o tym chociażby anonimy. Jeżeli przygotowywał swoją zbrodnię od lipca - blisko pół roku... A może ktoś czwarty, kogo nie brali dotychczas pod uwagę? Jakiś przysłowiowy „piąty as”? Piąty as... Czernik przypomniał sobie, że kapitan użył tego sformułowania w pewnym momencie swojej relacji o wydarzeniach tamtej nocy. O co to wtedy chodziło?

- Za dużo pytań - powiedział nieoczekiwanie dla siebie samego, na głos.

- Do trzeciego września bieżącego roku - Wolski przewrócił kolejną kartkę w skoroszycie - stan konta inżyniera Żuławskiego wynosił dziewięćset sześćdziesiąt trzy tysiące złotych...

- Ile? - Bula mimo woli podniósł głos.

- Dziewięćset sześćdziesiąt trzy tysiące - powtórzył cierpliwie kasjer.

- Od jak dawna Żuławski miał u was konto?

Wolski spojrzał pytającym wzrokiem na dyrektora banku PKO, w którego gabinecie toczyła się ta rozmowa.

- Pan Żuławski był naszym klientem od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku... - powiedział szczupły, łysy mężczyzna, podobny trochę do kukielki za swoim ogromnym, zawalonym papierami biurkiem.

- Od kogo dostawał te pieniądze?

- Przeważnie były to przelewy... musiałbym sprawdzić. Dość często przychodził osobiście - powiedział Wolski.

- Mógłby mi pan zrobić spis osób czy instytucji, które wpłacały Żuławskiemu pieniądze?

- Oczywiście, jeśli to potrzebne...

- Potrzebne - burknął Bula. Uprzejmiejszym tonem zapytał:

- Czy zaobserwowaliście jakąś prawidłowość w zmianach, jakim ulegał stan jego konta? Rósł systematycznie, czy nagle otrzymywał duże sumy, a potem przez dłuższy czas nic?

- Raczej... - powiedział z wahaniem Wolski - systematycznie... W każdym razie w ciągu kilku lat nie pamiętam ani jednej wpłaty, której wysokość mogłaby zwrócić uwagę, ani też podobnej wypłaty. To znaczy - do września tego roku. Wiedziałbym o tym z całą pewnością, ponieważ do pierwszego października posiadałem pełnomocnictwo inżyniera Żuławskiego - wyjaśnił.

- Pełnomocnictwo? - rzucił obojętnie Bula.

- Tak. Kiedyś, w lecie, przyszedł do mnie po pieniądze Już po zamknięciu kasy. Wybierał się do Zakopanego na spotkanie z jakimś zagranicznym kontrahentem. Martwił się, że jeżeli nie pojedzie, to ktoś go ubiegnie w tym interesie... to miał być bardzo korzystny interes. Wtedy wpadł na ten pomysł. Pojechał bez pieniędzy, a mnie zostawił pełnomocnictwo. Zrealizowałem czek następnego dnia i wysłałem mu gotówkę telegraficznie. Po powrocie przyszedł mi podziękować i zaproponował wystawienie stałego pełnomocnictwa. Mówił, że musi często wyjeżdżać, że nie ma czasu na załatwianie formalności. Początkowo nie chciałem się zgodzić, ale tak prosił i nalegał, że w końcu nie mogłem odmówić. Oczywiście, przeprowadziliśmy to przez biuro naszego radcy prawnego. Po każdej wypłacie czy wpłacie pan Żuławski otrzymywał wyciąg ze swojego konta. To się zresztą zawsze robi.

- Płacił panu? - spytał łagodnie Bula.

- Nie robiłem tego zupełnie bezinteresownie - przyznał po chwili wahania Wolski.

- Pan Wolski - wtrącił dyrektor - jest jednym z naszych najlepszych pracowników. Mogę z całym spokojem za niego zaręczyć...

Bula zapewnił go, że nie zaszło nic takiego, w wyniku czego jeden z najlepszych pracowników mógłby takiej poręki

potrzebować. Zwracając się do Wolskiego spytał:

- Mówił pan, że pełnomocnictwo było aktualne do pierwszego listopada. Żuławski zrezygnował z tej... umowy?

- Pierwszego listopada ukazało się zarządzenie, zabraniające pracownikom banków przyjmowania pełnomocnictw klientów. Od tego czasu inżynier Żuławski wszystkie swoje operacje finansowe załatwiał osobiście.

Bula skinął głową. - Rozumiem - mruknął. Poczęstował dyrektora i kasjera giewontem, po czym, skwitowawszy ich odmowę aprobującym gestem, przysunął w swoją stronę beuzytecznie obciążającą biurko wielką, kryształową popielniczkę. Zaciągnął się głęboko i poprawił w fotelu. - Zatem - powiedział po chwili - do trzeciego września Żuławski miał na koncie blisko milion. Tak pan powiedział, prawda?

Wolski skinął potakująco głową.

- A teraz?

- Zostało sześć tysięcy trzysta złotych.

Bula przyjął tę zaskakującą bądź co bądź informację z olimpijskim spokojem. Przyszła mu na myśl Żuławska. Milion przeszedł jej dosłownie koło nosa. Czy wiedziała o tym? Czy mogła o tym nie wiedzieć? „Oczywiście, że mogła” - zawyrokował w duchu. Głośno spytał:

- Podjął wszystko za jednym zamachem?

- W trzech ratach - odpowiedział spoglądając w skoroszyt Wolski.

- Trzeciego, jedenastego i dwudziestego piątego września.

- Nie mówił przypadkiem, co ma zamiar zrobić z tymi pieniędzmi?

Dyrektor poruszył się niecierpliwie w fotelu. - Nie mamy zwyczaju wypytywać naszych klientów, co robią z pieniędzmi - powiedział przez nos.

- Szkoda - burknął półgłosem kapitan. Wolski zamknął skoroszyt i uśmiechnął się. - Oczywiście, o nic pana Żuławskiego nie pytałem - spojrzał na dyrektora - tym niemniej

muszę słuchać, co klienci do mnie mówią. Otóż inżynier Żuławski wszedł w spółkę z kimś, kto prowadzi czy też buduje dopiero jakąś wytwórnię środków piorących, perfum i w ogóle kosmetyków. Śmiał się, że zmienia na starość pleć... że odtąd jego czeki będą pachnieć makami kalifornijskimi. Mówił, że ma już dość takiego miotania się od okazji do okazji i że w związku z tym zostaje poważnym przemysłowcem. Znalazł podobne dobrego fachowca...

- Nie powiedział, jak się ten fachowiec nazywa?

Wolski rozłożył bezradnie ręce.

- Niestety nie. Mówił tylko, że eksportuje swoje wyroby do kilku krajów.

- Proszę panów - rzekł Bula wstając - zróbcie mi ten wykaz, o którym była mowa, i przygotujcie wszystkie akta Żuławskiego. Jest teraz - spojrzał na zegarek - dziesiąta trzydzieści. Na którą będziecie gotowi?

- Dzisiaj? - spytał z obawą w głosie dyrektor.

- Za godzinę? Dwie? - odpowiedział pytaniem Bula.

- Jeżeli ktoś mnie zastąpi w kasie, mogę przygotować dokumenty na dwunastą - powiedział Wolski, spoglądając pytająco na dyrektora.

- Dobrze - uciał kapitan. - O dwunastej przyślę tutaj naszego pracownika. Zabierze te rzeczy i wystawi wam pokwitowanie.

Łazik zahamował nagle, Bula w ostatniej chwili uniknął uderzenia głową o stalową oprawę szyby.

- Pierońskie dziady! - zaklął kierowca, wychylając się z wozu. Całą szerokość ulicy Klonowej przegradzał, niby rów przeciwczołgowy, głęboki wykop. Nie uprzedzał o jego obecności najmniejszy znak ostrzegawczy, czerwona lampa czy bariera. Daleko za pustą parcelą zamajaczyły dwie postacie, które na widok milicyjnego gazika przyśpieszyły kroku. Dwóch mężczyzn niosło na ramionach pomalowaną w biało-



czerwone pasy długą deskę.

Ulica, kończąca się kilkaset metrów dalej u stóp burych pagórków, pozostałych po nieistniejącej już fabryce, była właściwie za nimi. Na jej zabudowania składały się wyłącznie domki i wille, cofnięte w głąb zielonych latem ogrodów. Dalej, między rowem, który ich zatrzymał, a pierwszym wzniesieniem stały już zaledwie dwa domki w dość dużej odległości od siebie, otoczone rozległymi pustaciami.

- Przyślę im tutaj naszych z „drogówki” - odgrażał się kierowca. - Dzień teraz krótki. Ktoś pojedzie i zbudzi się w szpitalu...

- Poczekajcie tutaj - Bula wygramolił się z łazika i ruszył przed siebie. Przeszedł po wąskiej kładce, przerzuconej nad wykopem, i po kilku minutach stanął przed drewnianą furtką. Poza nią rozciągał się nieduży, zaniedbany plac, w środku którego stał piętrowy dom z surowej cegły. Obok bramy widniała stara emaliowana tabliczka z napisem: „Wytwórnia chemiczna - Laura”.

Kmita zachował się tak, jak gdyby wizyta kapitana Buli była najmiłszą ze wszystkich możliwych niespodzianek. Był sam. Laborantka pojechała do Gdyni po partię surowca, a dwóch robotników, uzupełniających załogę „Laury”, było zajętych przy naprawie agregatu. Maszyny i aparaty, zajmujące całe pierwsze piętro, stały bezczynnie. Cały dom, po którym Kmita skwapliwie kapitana oprowadził, objaśniając wylewnie przeznaczenie poszczególnych urządzeń i podtykając gościowi pod nos próbki produkcji, był przesiąknięty ostrym zapachem najrozmaitszych specyfików i chemikaliów.

- Czy jest tutaj jakiś ką, gdzie trochę mniej śmierdzi? - nie wytrzymał wreszcie Bula.

Kmita rozłożył ręce. - Ja już tego nie czuję, panie kapitanie - powiedział zakłopotany. - Obawiam się...

- Wyjdźmy przed dom - przerwał niecierpliwie Bula. - Niech pan weźmie płaszcz...

Usiedli na kamiennych schodkach, wiodących z ogrodu, a właściwie łysego placyku, do drzwi wejściowych. Kapitan nie kwapił się z rozpoczęciem rozmowy, wdychając z widoczną ulgą czyste powietrze.

- Może skoczylibyśmy na kawę - zaproponował wreszcie niepewnie Kmita. - Mam tutaj wóz...?

Bula zerknął spod oka na przyklejony do domu blaszany garaż i pokręcił przecząco głową.

- Nie mam czasu - powiedział. - Może innym razem. Chciałbym panu coś powiedzieć i o coś zapytać...

- Proszę bardzo - odrzekł szybko Kmita - jeżeli tylko będę mógł w czymś pomóc... chodzi, oczywiście, o sprawę Żuławskiego?

- Zapoznałem się z treścią anonimów, które otrzymywał pan przed wyjazdem do Osady. Muszę przyznać, że to dość interesująca lektura... dla oficera milicji.

- To są insynuacje. Mam nadzieję, że milicja nie potraktuje poważnie nie sprawdzonych donosów!

- Sprawdziliśmy - mruknął obojętnym tonem Bula.

Zapanowało milczenie.

- Wszystkie historie, które ewentualnie mam na sumieniu - odezwał się w końcu ponuro Kmita - to dziecinada w porównaniu z tym, co robią inni. Wiem - dodał z goryczą - jaką opinią cieszą się u was prywaciarze. Ale nie macie pojęcia, jak trzeba harować, aby wycisnąć; coś z takiego warsztatu...

- Pan ma konto w banku PKO czy tak?

- Mam. Muszę mieć. Jest wiele firm i instytucji, zresztą nie tylko w kraju, które płatności regulują wyłącznie przelewami.

- Mógłby mi pan zdradzić stan swojego konta?

- Tego nie sprawdziliście jeszcze? - spytał z przekąsem.

- Około sześciuset tysięcy. Ale znaczna część tych pieniędzy to rezerwa na zakup surowców...

- Pan rozbudowuje wytwórnię?

- Czy rozbudowuję? Skąd pan wie? Owszem, myślałem o

tym... na razie zbroję teren. Znaczna część moich wyrobów idzie na eksport, w związku z tym mogę liczyć na kredyt. Pewien procent zarobionych dewiz wolno mi na przykład wykorzystać na zakup zagranicznych maszyn. W tej sytuacji rozbudowa opłacałaby się i mnie, i państwu... Ale z nikim jeszcze na ten temat nie rozmawiałem. Ponieważ sąsiedni plac należy również do mnie, postanowiłem go na wszelki wypadek uzbroić przed zimą... To na razie wszystko.

- Na pewno nie rozmawiał pan z nikim o swoich projektach?

Kmita spojrział na niego ze zdziwieniem. - Oczywiście, że nie... To znaczy, może wspominałem komuś przy jakiejś okazji, że warto byłoby o tym pomyśleć... Ale z pewnością nie było to nic konkretnego. Dlaczego pan pyta?

- Mniejsza z tym. Na razie. A skąd pan wziął środki na porządkowanie placu? Zakładają tam, zdaje się, jakiś rurociąg?

- Skąd wziąłem środki? Po prostu, podjąłem pieniądze z konta. Nie rozumiem naprawdę, o co chodzi?

- Później wszystko panu wytłumaczę. Proszę mi teraz powiedzieć, która z osób w pana otoczeniu była na tyle zorientowana w... nazwijmy to, transakcjach, przeprowadzanych przez firmę „Laura”, żeby napisać te anonimy albo podyktować ich treść autorowi?

Kmita wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia - powiedział z przekonaniem. - Sam się nad tym zastanawiałem. Może laborantka... Ale ona była w sierpniu na urlopie. Tymczasem właśnie w sierpniu przyszło, jak pan wie, najwięcej listów... zresztą, zawarłem w tym czasie kilka umów. Naprawdę nie wiem. Oczywiście, o każdej mojej transakcji oddzielnie mogłoby powiedzieć wiele ludzi. Kontrahenci, notariusz... Ale spotykałem się w tym czasie z bardzo różnymi środowiskami i osobami, reprezentującymi różne firmy, różne branże... To jest dla mnie zagadka nie do ugryzienia.

- Jednym słowem, stwierdza pan, że zarzuty wysunięte w anonimach są prawdziwe?

- Nic podobnego - Kmita odwrócił głowę. Przez moment wydawało się kapitanowi, że przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Nic nie wskazywało, by zdawał sobie sprawę z faktu, że znajduje się w kręgu osób podejrzanych o popełnienie morderstwa. Jeżeli grał, to robił to naprawdę dobrze.

- Tak - Bula wstał, otrzepał spodnie i zszedł po schodkach. Kmita wstał również. - A więc po pierwsze - mówił kapitan - nie wie pan nic o człowieku, ukrywającym się pod pseudonimem „Robin Hood”. Po drugie: nie znał pan osobiście żadnego z mężczyzn, spotkanych tamtego wieczoru w „Janinie”. Po trzecie: od kiedy powiedzieliśmy sobie wtedy „dobranoc”, nie opuścił pan swojego pokoju. Po czwarte, oczywiście, nie zamordował pan Żuławskiego.

- Przecież pan sam był cały czas w hallu. Nie mam czapki-niewidki.

- Teraz po piąte - ciągnął tym samym tonem Bula - widział pan już kiedyś coś takiego? - mówiąc to wydobyl z kieszeni mocno wybrudzoną, zmiętą chusteczkę i podsunął ją Kmicie. Ten wziął ostrożnie chustkę w dwa palce i przyjrzał się jej uważnie. Po chwili sięgnął do kieszeni. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jego chusteczka i ta, którą przyniósł Bula, pochodziły z tego samego kompletu.

- Mam takie same - bąknął wreszcie, spoglądając na kapitana spłoszonym wzrokiem. Ten skinął poważnie głową, schował chustkę i bez słowa skierował się w stronę furki. Zastanawiał się przez chwilę, czy mu to powiedzieć. W tej sprawie było dużo poszlak i piekielnie mało dowodów. Może nie zaszkodzi przeproszyć nieco kogoś z tego towarzystwa. Pod wpływem lęku przestępcy puszczają się często w karkołomny taniec, który prowadzi ich prosto do celu.

- Pan odchodzi? - w głosie Kmita brzmiało szczere zdumienie.

Bula zatrzymał się przy furtce i odwrócił powoli.

- Niech pan powie tym ludziom, którzy zakładają rurociąg do nowego budynku waszej „Laury”, żeby wystawiali znaki ostrzegawcze, kiedy rozkopują ulicę. Inaczej mogą mieć nieprzyjemności. A jeśli chodzi o chusteczkę... proszę sobie dobrze przypomnieć, czy wtedy w „Janinie”, w nocy, jedenastego listopada, otwierał pan okno w swoim pokoju?

- Okno? Skądże! Zimno było jak w psiarni... Dlaczego pan pyta?

- Tak sobie. Tę chusteczkę, mokrą i brudną, znaleźliśmy wtedy rano pod oknem pana pokoju. Wyglądała dokładnie tak, jak gdyby wytarto nią na przykład... parapet, na którym, dajmy na to, jej właściciel pozostawił niepożądane ślady... Oczywiście, to nie musi być pańska chusteczka.

## 8.

- Czy to... - Żuławska zawahała się przez moment - czy to ma być rewizja?

- Nic podobnego - Bula rozejrzał się po pokoju i podszedł do biurka. - Musimy po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o pani mężu, chcąc znaleźć człowieka, który go zabił... Tak się składa, że pani niewiele może nam pomóc. Oczywiście, nie musi się pani godzić...

- Ależ proszę - Żuławska wskazała biurko i sejf - wszystko jest otwarte. Nie wiem wprawdzie, czego pan szuka... ale proszę się nie krępować. Mąż nie żyje, a ja nie mam nic do ukrywania.

Bula usiadł za biurkiem i otworzył szufladę. Listy, kwity, rachunki, formularze przekazów i najrozmaitsze inne dokumenty poukładane naprędce, byle jak, świadczyły o tym, jak małą wagę przywiązywała do nich gospodyni, lub jak dalece na nich się nie znała. Przeglądając papiery kapitan porządkował je machinalnie, układając osobno listy, osobno rachunki i kwity oraz inne różnokolorowe świstki, dotyczące w większości wpłacanych lub otrzymanych pieniędzy. Spenetrował dokładnie wszystkie szuflady i szafkę pancerną, zapytał, czy Żuławski trzymał dokumenty w jakimś jeszcze innym miejscu, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, wstał, podszedł do okna i zamyślił się. Wydawało mu się, że trzyma już w ręku nić, która zaprowadzi go do rozwiązania sprawy. Jej epilog rysował się jeszcze mgliście, było kilka wariantów, poza tym pozostawał wybór drogi. Pomyślał o swoim młodym asystencie i uśmiechnął się. Zdolny chłopak. Bije jeszcze trochę po omacku, ale ma talent. Tylko jemu miał Bula do zawdzięczenia, że najważniejszy dowód w tej zagmatwanej sprawie znajdował się teraz w jego szafie. Wielu, bardzo wielu ludziom nie przy-

szłoby na myśl zabierać stąd coś tak niepozornego i pozornie przypadkowego. Kapitan przyszedł do Żuławskiej bez wyraźnie sprecyzowanego celu. Prosząc o pozwolenie przejrzenia papierów Żuławskiego, nie bardzo wiedział, czego właściwie szuka. Uzmysłowił to sobie dopiero po pewnym czasie, wracając myślą do relacji Czernika po osobliwym włamaniu do mieszkania Żuławskich. Cały czas - najpierw nieświadomie, a później z rozmysłem szukał czegoś, czego tu nie było, chociaż powinno być. W precyzyjnie obmyślanym planie mordery zarysowała się poważna luka. Wiedział, że prędzej czy później natrafi na coś takiego. Nie ma zbrodni doskonałych. Nie spodziewał się tylko, że nastąpi to tak szybko. Poza tym... mógł się jeszcze mylić.

- Mam kilka pytań - powiedział, odwracając się do Żuławskiej, która obserwowała go z pozbawionym, pozornie przynajmniej, lęku zaciekawieniem.

- Słucham?

Bula założył ręce na plecach i zaczął chodzić po pokoju. - Czy załatwiała już pani jakieś formalności, związane ze spadkiem po mężu?

Gospodyni wzruszyła ramionami. - Nie - powiedziała sucho. - Myślałam, że te rzeczy są przeprowadzane jakoś automatycznie. O ile wiem, w naszym ustawodawstwie obowiązuje wspólnota majątkowa małżonków...

Bula skinął głową. - Niemniej jednak - powiedział powoli - pewnych formalności nie da się uniknąć. Zwłaszcza jeśli chodzi o konto bankowe. Czy orientuje się pani, ile pieniędzy mieliście w banku?

- Nie.

- A więc nie wie pani, ile zostawił Żuławski.

Spojrzała na niego zdziwiona. - Nie wiem... myślę, że dość dużo...

- Muszę panią rozczarować - powiedział dobitnie kapitan. - Kilka tysięcy. W okresie dwóch ostatnich miesięcy pani mąż

podjął ze swojego konta blisko milion złotych...

Żuławska nie odpowiedziała. Odwróciła powoli głowę i usiadła na kanapie. Bula obserwował ją z uwagą. Był bardzo ciekaw, co ta kobieta teraz myśli.

- Jest pan tego pewien? - zapytała wreszcie lekko ochrypłym głosem.

- Jestem pewien.

- Nie miałam pojęcia - odezwała się po chwili - że miał tyle pieniędzy.

- Wobec tego nie wiedziała pani także, że tyle ostatnio wydał. Ale może domyśla się pani, na co?

Pokręciła bezradnie głową. - Nie mam pojęcia - powiedziała cicho. - Nic mi o tym nie mówił... nie wiem, czy coś ostatnio kupował...

- Mam uwierzyć, że pani do tego stopnia, nie orientowała się w sytuacji majątkowej swojego męża? Ostatecznie, były to wasze wspólne pieniądze?

Żuławska zwiesiła głowę.

- Panie kapitanie - powiedziała wreszcie cicho - mąż nie żyje. Zginął w sposób, który musi wzbudzać przerażenie i protest każdego człowieka... a zwłaszcza jego żony. Nawet jeśli ta żona... mówiłam panu, że moje małżeństwo się nie udało. Ale w tej sytuacji... nie chciałabym mówić źle o mężu.

- Rozumiem - powiedział poważnym tonem Bula.

Wyprostował się i spojrział na zegarek. Na dworze było już ciemno. Dochodziła piąta.

- Późno już - mruknął - czeka mnie dzisiaj trochę pracy. Chciałbym jeszcze spytać o jedną rzecz... kiedy pani widziała ostatni raz te dolary, zegarek i spinki, które przyniosłem tutaj przedwczoraj?

Żuławska wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Dolary... - powiedziała z namysłem - chyba dwa, trzy tygodnie temu. Jeśli chodzi o tamte rzeczy, to mąż zabierał je tylko na jakieś przyjęcia albo kiedy szedł na spotkanie z kimś,



na kim szczególnie mu zależało... nie pamiętam.

- A nóż? - rzucił Bula.

Żuławska drgnęła. Zbladła i splotła nerwowo ręce na pierśsiach.

- Nie wiem... - szepnęła po chwili - miałam go zawsze pod ręką. Nie rozumiem, jak to się mogło stać...

- Na całą noc? Zwariowałaś? Nie pomyliłeś się przypadkiem w adresie?

Pułkownik nie miał dzisiaj dobrego dnia. Jesienna plucha budziła łomocący ból w starych ranach, odniesionych dwadzieścia kilka lat temu, w Bieszczadach. Tak było co roku.

- Muszę mieć szybki wóz - powtórzył spokojnie Bula.

Szef zaczerpnął głęboko powietrza.

- Weźmiecie gazik - powiedział oficjalnym tonem.

- Muszę mieć szybki wóz - powtórzył z naciskiem kapitan. - I bardzo dobrego kierowcę. Chciałbym jeszcze trochę pożyć.

- Skądże, do diabła, mam ci wytrzasnąć sportowy samochód?! Myślisz, że mam konto jak ten twój Żuławski?

- On już nie ma konta - odparł melancholijnie Bula. - Za to ja muszę mieć dobry wóz na dzisiejszą noc. Najchętniej sportowego volkswagena z włoską karoserią...

- Bula! Ostrzegam was... - pułkownik uśmiechnął się mimo woli.

- Nie żartuję - powiedział kapitan. - Chodzi o coś, co byłoby przynajmniej tak szybkie. Ani kilometra na godzinę mniej.

- Jesteś cholerna piła... - zauważył szef.

- Już mi to mówiono - przyznał Bula.

- Załatwię ci naszego mercedesa. Wystarczy?

Kapitan pomyślał chwilę. Tamten jest chyba szybszy. Ale mercedes lepiej trzyma się szosy, zwłaszcza na deszczu. W sumie wyjdzie na to samo.

- Wystarczy - powiedział. - Niech przyjedzie pół do

dwunastej w nocy na Jagiellońską. Będę tam czekał.

Komenda Wojewódzka w Gdańsku obiecała w ciągu najbliższych godzin odnaleźć w spisach hotelowych czy gdziekolwiek bądź Barbarę Jabłońską, laborantkę zatrudnioną w firmie „Laura”, i otoczyć ją dyskretną opieką. Bula poprosił, aby zwrócono szczególną uwagę na jej wydatki - prywatne oraz dokonywane na rachunek firmy. Nie wolno było jeszcze wykluczyć możliwości, że Żuławski, zawarłszy umowę z Kmitą, przeznaczył pobrane z banku pieniądze na rozbudowę ich przyszłej wspólnej własności. Mogłoby to wynikać z tego, co powiedział kasjer w banku. Wprawdzie w takim wypadku Kmita musiał wystawić Żuławskiemu solidnie obwarowane pokwitowanie, a niczego podobnego kapitan w rzeczach zamordowanego nie znalazł, ale brakowało tam jeszcze czegoś więcej, czegoś, co Żuławski również musiał mieć u siebie w domu. Tak czy owak rzecz należało sprawdzić.

Zgrabnie wymodelowane oparcie głębokiego fotela przyjęło łagodnie ciężar kapitana. Wyciągnął wygodnie nogi i obserwował kolorowe światełka na desce rozdzielczej.

- Dobrze idzie? - spytał, wskazując zegar.

- Dobrze, obywatelu kapitanie - odparł kierowca. Był to jeden z najstarszych kierowców komendy, były zawodnik; o jego wyczynach prażyły prawdziwe legendy, chociaż nie lubił spieszyć się wtedy, kiedy sytuacja tego nie wymagała. Pracował w „drogówce”, często jednak „pożyczano” go sobie, jadąc na zadania specjalne.

- Za cztery minuty ruszamy... - powiedział Bula.

Stali kilka metrów poniżej bramy, w której wieczorem, jedenastego listopada, napadnięto Czernika. Światła w oknach starego budynku były pogaszone. Kapitan pomyślał o Cieślakowej. Był ciekaw, czy także już śpi, czy jeszcze pracuje, jak tamtej nocy. Jednak okno jej pokoju, a właściwie izdebki, wychodziło na podwórze. Nagle wydało mu się, że w mrocznej

czeluści bramy coś się poruszyło. Wstrzymał oddech. Z miejsca, w którym stali, widoczny był tylko wąski wycinek sieni; nikle, żółtawe światło ulicznej latarni nie pozwalało stwierdzić, co dzieje się głębiej. Raptem zamajaczył w bramie, tym razem zupełnie wyraźnie, czarny kształt, wielkości ludzkiej głowy.

- Uważaj, synu - mruknął Bula - wyskakuj z wozu zaraz za mną i biegiem do bramy, pod dwunastkę...

Zanim kierowca zdążył odpowiedzieć, kapitan był już na chodniku. Za drzwiami załomotało coś gwałtownie. Kiedy Bula, wzywając ostro nieznanego do zatrzymania się, wpadł do bramy, człowiek znajdował się już w połowie sieni. Stał jednak posłusznie i bez oporu dał się wyprowadzić na ulicę. Kierowca trzymał go mocno pod ramię, spoglądając na kapitana z uznaniem. Cała operacja nie trwała nawet dwudziestu sekund.

Zatrzymany okazał się młodym mężczyzną, nieledwie chłopcem. Miał na sobie watowaną fufajkę, stare, wyświechtane spodnie i tenisówki. Czarne, zmierzwiłone włosy spadały mu na oczy.

- Czego chcecie... puście, no... nic nie zrobiłem... - mamrotał niewyraźnie.

- Dowód osobisty - rzucił Bula. Mężczyzna zamilkł i wytrzeszczył oczy.

- Macie dowód? - spytał łagodniejszym tonem kapitan. Zorientował się, że z nieznanym jest coś nie w porządku.

I to pytanie pozostało bez odpowiedzi. Bula niecierpliwił się. Czas uciekał. Nie mieli go za wiele. Poleciał kierowcy prowadzić zatrzymanego ze sobą i ruszył do mieszkania Cieślakowej.

- Józio! - wykrzyknęła kobieta, ujrawszy mężczyznę. - To pan? - poznała kapitana i odetchnęła z ulgą. - Co się stało?

Nagle Józio gwałtownym szarpnięciem wyrwał się kierowcy, doskoczył do Cieślakowej i dziecinnym gestem

przytulił twarz do jej ramienia. Kobieta objęła go i pogłaskała po głowie, dając równocześnie porozumiewawcze znaki kapitanowi.

- To musi być pomyłka, panie władzo - mówiła łagodnie.

- Józio nie mógł zrobić nic złego... Mieszka tutaj, koło mnie. Znam jego rodziców, bardzo porządni ludzie. Józio trochę chorował i ma czasem kłopoty, ale to przecież grzeczny chłopiec...

Sąsiad z pierwszego piętra przyjął Bulę bardzo uprzejmie, zważywszy, że była to druga w ciągu niewielu dni, a raczej nocy, prośba o pozwolenie skorzystania z telefonu w dość raczej niezwykłych okolicznościach.

Radiowóz przyjechał niemal natychmiast. Kapitan zresztą mocno zachęcał kolegów do pośpiechu. Józia zabrano, uspokajając kobietę, że chodzi jedynie o sprawdzenie zeznań jakiegoś zatrzymanego włóczęgi. Żegnając się z Bulą, Cieślakową powiedziała:

- Takie nieszczęście, panie władzo. Chłopak chował się tutaj z wszystkimi dziećmi, chodził do szkoły. Jego ojciec pracuje w miejskiej radzie. Aż tu nagle - zapalenie opon mógowych. I po człowieku. Serce się kraje, kiedy pomyśleć...

Kapitan przyrzekł przestraszonemu i zasmuconemu rodzicom, sprowadzonym przez Cieślakową, że chłopiec (Józio miał dwadzieścia cztery lata) dostanie dobry pokój, będzie miał zapewnioną opiekę lekarską i że odwiozą go do domu jutro, w ciągu dnia. Wyjaśniając przyczynę zatrzymania syna, powiedział, że był on prawdopodobnie świadkiem napadu na milicjanta i poprosił jego matkę o pomoc przy przesłuchaniu chłopca.

Kiedy znalazł się wreszcie z powrotem w samochodzie, była za osiemnaście pierwsza. Mieli dwadzieścia minut spóźnienia. Kapitan pocieszał się, że taka różnica nie powinna mieć większego wpływu na zmianę warunków jazdy. Trzeba będzie

po prostu odjąć ten czas od ogólnego rachunku, to znaczy założyć, że wyjechali dwadzieścia minut wcześniej.

Skośna perspektywa wysokich, ślepych murów zbiegała się w kwadracie płonącym szafirowym blaskiem. Czernik nie mógł oderwać oczu od tego widoku, przesłanianego co kilka sekund obłokami pary czy mgły. Jego powolne kroki dudniły głucho w pustym zaułku, szedł z wrażeniem, że ściany za nim zamykają się, że jedyną drogą, jaka mu pozostała, jest ten błyszczący punkt, za którym czeka go coś niewypowiedzianie strasznego. Po kocich łbach pełznął kolejny biały welon. Kiedy wzniósł się ku górze, Czernik ujrzał kapitana Bulę. Stał u progu przestrzeni, która wydawała ów upiorny blask, i kiwał zachęcająco ręką. Czernik odruchowo przyśpieszył. Nagle całe jego ciało opasał potworny płomień. Nie czuł żaru, ale blask był tak silny, że wdzierał się w niego poprzez zamknięte powieki, szarpał nerwy, paraliżował. Daremnie próbował poruszyć ręką lub nogą, przełamać tę przemożną, unicestwiającą siłę. Szarpnął się gwałtownie całym sobą i jęknął głośno. Nagle, tuż nad uchem, usłyszał szyderczy głos kapitana.

- No, i co, sierżancie...

Znieruchomiał. Skoro kapitan Bula był przeciw niemu... A może to nie on? Pułapka?

- No, synu... dość już tego dobrego...

Nie był to głos wroga. Brzmiał nawet przyjaźnie. Mimo to Czernik nie wyzbył się jeszcze podejrzeń. Postanowił przyjrzeć się bliżej temu niby kapitanowi. Odwrócił gwałtownie głowę i otworzył oczy. Potężny blask zmusił go do zamknięcia ich z powrotem. Wystarczył ułamek sekundy, aby dotarło do jego świadomości to, co zobaczył. Zerwał się, usiadł na łóżku i zupełnie już rozbudzony zastygł w bezgranicznym zdumieniu.

Pokój, ten sam, w którym zamordowano Żuławskiego, był jasno oświetlony. Tuż obok niego, na przysuniętym do łóżka krześle, siedział Bula. Czernik rzucił gorączkowe spojrzenie na drzwi i szafę. Były zamknięte. Przed kapitanem, otwarte i odwrócone grzbietem do góry, spoczywał jego własny notes.

- Widzisz, synu - mówił Bula, gryząc jabłko - kariera pra-

cownika wydziału dochodzeniowego składa się z kilku etapów. Najpierw jest się prorokiem. To coś takiego, jak w teorii ewolucji mit o małpie, dumającej w bezruchu. Młodego człowieka nachodzą wizje. Wydaje mu się, że po sposobie wypełnienia zbrodni potrafi odgadnąć twarz mordercy, jego płęć, wiek, środowisko, w jakim się obraca. Splata kolosalne łańcuchy przyczynowe, zaczynając od ogniwa zawieszonego w próżni. - Kapitan odgryzł świeży kęs i przez chwilę jedynym dźwiękiem rozpraszającym ciszę wiejskiego domu było soczyste chrupanie. Uporawszy się z tym wreszcie, ciągnął dalej: - Potem nastaje era fakcików. Osobnik na tym etapie skrzętnie gromadzi okruchy błota, które odpadło z butów przestępcy, ślady pudru, szminek, zawartość popielniczek i kubłów na śmieci oraz tysiące tego rodzaju rekwizytów, fascynujących zazwyczaj autorów widowisk kryminalnych. Kiedy człowiek spostrzega, że wszystko to zaczyna go setnie nudzić, że jest tylko niezbędnym, ale uciążliwym elementem śledztwa, dopiero wtedy kształtuje się w nim to coś, co w przyszłości może z niego zrobić wywiadowcę. - Bula ujął ogryzek w dwa palce, zamierzył się i rzucił. Ogryzek, odbity od metalowego pojemnika na śmieci, zniknął pod łóżkiem. Nie zrażony tym niepowodzeniem kapitan poprawił się w krzesło i sięgnął po papierosa. W miarę upływu czasu zdumienie Czernika rosło. Takiego potoku słów z ust kapitana Bula nie udało się usłyszeć nikomu od lat. Ale też po raz pierwszy zdarzyło się Czernikowi widzieć swojego szefa w tak wyśmienitym humorze. Rzecz była tak niezwykła, że sierżant miał na końcu języka pytanie, czemu należy przypisać ten gwałtowny przypływ optymizmu, Bula jednak nie pozwalał mu dojść do słowa.

- Wreszcie - kontynuował - wracają wizje. Ale wtedy wynikają już nie z intuicji, pozbawionej realnych przesłanek, i nie z fakcików, tylko z interpretacji faktów. Kiedy człowiek zna już na wylot technikę gromadzenia materiału dowodowego, kiedy jego umysł działa jak selektor, oddzielający plewy od ziarna, kiedy umie się powstrzymać od wysnuwania wniosków z niepełnych informacji i przypadkowych poszlak, wtedy

te wizje zaczynają odgrywać rolę decydującą. Tak to jest, synu...

Chwilę panowało milczenie. Czernik, już w kompletnym mundurze, siedział przy stole, wpatrując się w kapitana jak w kogoś, kogo widzi się pierwszy raz w życiu. Poprzez służbowy szacunek, pomieszany z odrobiną lęku, jakim darzył swojego zwierzchnika, przedarła się narastająca fala sympatii do tego starego wygi. Bula nie byłby jednak Bulą, gdyby w tej sytuacji nie pośpieszył z zimnym prysznicem.

- Ty, synu - odezwał się beznamiętnym tonem - tkwisz właśnie jedną nogą w pierwszym, a drugą w drugim etapie. To, co mi opowiedziałeś po wyjściu od Żuławskiej, to były wizje. Te pierwsze. To, czego się tutaj dowiedziałeś, a raczej twoja interpretacja tego, co zauważyłeś, to już drugi etap. Pracujesz w wydziale dopiero kilka miesięcy, jeśli się nie mylę?

Czernik przełknął ślinę i skinął głową.

- Właśnie - podchwycił Bula z widocznym zadowoleniem. - Trzeba przyznać, że idzie ci to nawet dość szybko...

Sierżant, który nie bez dumy przedstawił przed chwilą kapitanowi wyniki swojego rekonesansu w Śląskiej Osadzie, poczuł głębokie rozgoryczenie.

- Przepraszam, kapitanie - zaczął niepewnie - przecież gdybyście nie podejrzewali Żuławskiej, to po co mielibyście sprawdzać czas przejazdu z Jagiellońskiej do Osady... szybkim wozem? Poza tym - Czernik odetchnął głęboko i zaczął mówić bardziej swobodnie - sami uczyliście mnie, jak ważne są dowody rzeczowe... Ślady, śmieci, papierki. - Czernikowi przebiegło przez myśl wszystko, co zrobili od dnia morderstwa. Drobiazgowo śledztwo w środowiskach i instytucjach, z którymi kontaktowali się ludzie „zaproszeni” wtedy do „Janiny” przez autora anonimów, sprawdzenie kilkudziesięciu maszyn do pisania, dyskretne obserwowanie każdego kroku Kmity i Droźnego, a także Zawodzkiej... Teraz

trzeba będzie także pomyśleć o jej synu, tym dziennikarzu. Nie mówiąc o dziesiątkach, ba, setkach przeróżnych zabiegów zmierzających do ustalenia interesów Żuławskiego i ludzi, z którymi się stykał.

Bula przypatrywał mu się z życzliwym zainteresowaniem. Był rzeczywiście w niezwykle dobrym nastroju.

- Widzicie, sierżancie - odezwał się wreszcie - to są typowe objawy drugiego etapu. Ale nie martwcie się. Każdy z nas przez to przechodził. Co do Żuławskiej... nigdy nie mówiłem, że jej nie podejrzewam. Cały materiał - poza jednym jedynym wyjątkiem - nie powiedział nam o najważniejszym: o motywie zbrodni. Nie ulega wątpliwości, że jak dotychczas jedyną osobą, o której wiemy, że odniosła konkretną korzyść ze śmierci Żuławskiego, jest jego żona.

- A te pieniądze? - spytał po chwili sierżant. - Jeśli Kmita rozbudowuje „Laurę”? Mówiliście, że Żuławski zwierzał się ze swoich planów zawarcia spółki z wytwórcą kosmetyków? Czy nie mogło być tak, że Żuławski dał te pieniądze Kmicie, a ten, zamiast wystawić mu pokwitowanie, poczęstował go nożem? Byłaby to druga osoba, która mogła skorzystać na śmierci Żuławskiego...

- Mogła. Zresztą nie tylko Kmita. Ale Żuławska nie „mogła”, a skorzystała. To różnica. Poza tym... - Bula zamyślił się - po jakie лихо miałby taki Kmita aranżować tę całą hecę z anonimami, szantażem, ściąganiem ich do Osady... i wezwaniem do tego wszystkiego milicji? Zresztą - obrzucił Czernika kpiącym spojrzeniem - wydaje mi się, sierżancie, że odstępujecie od waszej pierwszej koncepcji? Więc nie Żuławska?

- Tego nie powiedziałem - odparł szybko Czernik. - Ale skąd się tam na przykład wzięła chusteczka Kmity?

- A kto ci powiedział, synu, że chusteczka należała do Kmity?

- W każdym razie ja wziąłbym to pod uwagę. Na moim etapie... - odciął się wreszcie Czernik, nie bez pewnego przy-



ciszenia głosu. Bula spojrział na niego zachęcająco. Sierżant czekał chwilę, jednak kapitan nie odpowiedział. - Jeśli chodzi o Żuławską - podjął - to w dalszym ciągu uważam, że powinniśmy ją przede wszystkim brać pod uwagę. Sami powiedzieliście, kapitanie, że tym swoim wozem mogła zajeżdżać tutaj w godzinę.

- I myślisz, że to ona pisała anonimy? - spytał przeciągle „Bula. Czernik wzruszył ramionami. - W każdym razie mogła je napisać... - Chwilę panowało milczenie.

Wreszcie kapitan wstał, odsunął z łoskotem krzesło i zaczął chodzić po pokoju. Usłyszeli nagle kroki w korytarzu, po czym rozległo się pukanie.

- Proszę! - rzucił Bula.

W drzwiach ukazała się twarz Zawodzkiej. Chwilę przyglądała się w milczeniu kapitanowi, głowiąc się widocznie, w jaki sposób znalazł się w jej domu.

- Dzień dobry pani - powiedział wreszcie Bula. - Przyjechałem w nocy. Nie chcieliśmy pani budzić, więc przyszedłem od razu tutaj, do kolegi.

- Dzień dobry panu, panie kapitanie... czy coś się stało? Złapaliście może tego zbrodniarza? - Zawodzka wsunęła się przez uchylone drzwi i pozostała przy nich, nie wchodząc dalej.

- Dobrze się składa, że pani przyszła - powiedział Bula, jakby nie dosłyszał pytania. - Mam małą prośbę...

Gospodyni spojrziała na niego niespokojnie. - O co chodzi? - spytała niepewnie.

- Nasi ludzie przeszukali dom i ogród. Cały czas mam jednak wrażenie, że coś przeoczyli. Obawiam się na przykład, czy morderca, korzystając z zamieszania, nie podrzucił jakichś rzeczy do pani pokoju., Krótko mówiąc, chciałbym się tam rozejrzeć. Oczywiście, nie mam nakazu rewizji... - kapitan zawiesił głos i spojrział na Zawodzką.

Stała chwilę bez ruchu, jakby nie dosłyszała, co do niej

mówiono. Wreszcie poruszyła się niespokojnie i powiedziała cicho: - Proszę, oczywiście... ale tam jest okropny nieporządek...

- To posprzątamy - odrzekł wesoło kapitan, przeciskając się między drzwiami i gospodynią. Czernik nie mylił się. Był naprawdę w doskonałym humorze.

- Nie, nie - Bula powstrzymał Zawodzką, która podeszła do szafy, otworzyła ją i spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Zatrzymał się pośrodku pokoju i wodził spojrzeniem po prostych, niedrogich meblach. - To musi być gdzieś na wierzchu... - mruknął. Czernik obserwował go od drzwi, zdeorientowany. Nie miał najmniejszego pojęcia, czego kapitan może tu szukać. Gdyby Zawodzka popełniła morderstwo, to nie trzymałaby tutaj nic kompromitującego. Siedząc wzrok Buli obejrzał uważnie tapczan, etażerkę, zasłoniętą starannie firanką, wreszcie zatrzymał się na wysokim stoliku i stojącym na nim aparacie radiowym.

Kapitan wpatrywał się w ten kąt jak zahipnotyzowany. Opuścił swobodnie ręce, ściągnął brwi i znieruchomiał. Wreszcie mruknął coś niewyraźnie, podszedł do stolika i ze szpary pomiędzy radiem a płytą wydobył jakieś papiery. Rzucił krótkie spojrzenie Zawodzkiej, która podeszła powoli zaintrygowana, i rozwinął kartkę. Na pierwszy rzut oka poznał, że trzyma w ręku to, czego tutaj szukał. List był pisany w identyczny sposób i na tej samej maszynie, co wszystkie inne anonimy, które pojawiły się dotychczas w tej sprawie. Tekst brzmiał następująco:

*Szanowna Pani,*

*Podziwiam zimną krew i konsekwencją, z jaką przeprowadziła Pani swój śmiały plan. Pisząc to, nie liczę na żadne korzyści osobiste, przyrzekam, że to, co wiem, pozostanie między nami. Chciałbym tylko zapewnić, że ma Pani we mnie człowieka szczerze życzliwego i oddanego, na którego przyjaźni można polegać. Będę obserwował*

*dyskretnie Pani kroki i w razie potrzeby pośpieszę z pomocą.  
Proszę czekać na listy.*

*Robin Hood*

Bula złożył kartkę i spojrzął na kopertę, która znajdowała się pod listem. Była otwarta, ale najwidoczniej przygotowana do wysyłki. Na kopercie widniał adres: Elżbieta Żuławska, Katowice, Wiśniowa 61.

Podał bez słowa list wraz z kopertą Czernikowi i zwrócił się do oniemiałej z wrażenia gospodyni:

- Czy to pani pisała ten list?

Zawodzka pokręciła głową.

- Skąd się to tutaj wzięło?

- Nie wiem... nie mam pojęcia... pierwszy raz to widzę...

- wykrztusiła wreszcie kobieta. Spojrzała na kapitana szeroko otwartymi oczyma, w których odbiła się trwoga. - Czy... czy to podrzucił ten... morderca?

Bula odebrał od Czernika list i schował go do portfela.

- Kiedy zaglądała pani ostatni raz pod radio? - zapytał.

- Nie pamiętam... Sprzątałam mieszkanie dwa tygodnie temu. Wtedy tego na pewno tam nie było...

- Proszę na razie nikomu nie mówić, że znaleźliśmy tutaj coś takiego. Od dzisiaj przydzielimy pani jednego z miejscowych funkcjonariuszy. I proszę pamiętać, co mówiłem, na razie nie wolno pani nigdzie wyjeżdżać...

- Widzisz, synu - mówił Bula, kiedy znaleźli się w samochodzie - to był poważny błąd ze strony mordercy. Ale gdybym nie przewidział czegoś takiego, także i ten błąd uszedłby mu, być może, bezkarnie. Powiedziałeś mi jedną niegłupią rzecz... - Czernik czekał z niekłamanym zainteresowaniem na dalszy ciąg, ale Bula osunął się głęboko w siedzenie mercedesa i zamilkł. Trwało to kilkanaście minut. Pogoda była lepsza niż ubiegłych dni, poprzez białoszare strzępy chmur co chwilę przezierało słońce, wyostrając fragmenty gór. Samochód

niósł miękko po suchej i pustej szosie, jazda stawała się prawdziwą przyjemnością. Wreszcie kapitan ocknął się, westchnął, przesunął ręką po czole i powiedział, nie odwracając głowy:

- No, to teraz czeka nas wreszcie prawdziwa robota...

Zamiar natychmiastowego przystąpienia do „prawdziwej roboty” pokrzyżował im jednak telegram z Wybrzeża.

## 9.

Dął ostry wiatr wraz z drobinami deszczu i rozbryzanych fal, pod sztywne, nieprzemakalne płaszcze przenikało przeraźliwe zimno. Jabłońska nasunęła głęboko na oczy ortalionowy kaptur, torebkę ścisnęła mocno pod pachą i wsadziła ręce do kieszeni. Spóźniał się. Warto by zobaczyć, która godzina. Na myśl o wyjęciu ręki i odgarnięciu rękawa przebiegł ją dreszcz. Cóż to w końcu pomoże. I tak musi czekać. Trzeba być idiotką, żeby godzić się na spotkanie w takim miejscu i o takiej porze.

Nagle ujrzała Pawła. Wyszedł zza starej budki strażnika portowego, pamiętającej pierwsze baseny, i bacznie zlustrował okoliczne zabudowania. Uspokojony, kiwnął z daleka głową i ruszył w jej stronę, przeskakując z szyny na szynę. Kiedyś prowadziła tędy główna droga dojazdowa do portu.

- Przepraszam, Basiu - mówił cicho, zdyszany - wydawało mi się, że ktoś za mną idzie. Oczywiście, to nonsens, ale wolałem się upewnić.

- Chodź już - Jabłońska ruszyła przed siebie, nie wyjmując rąk z kieszeni. - Oby tylko czekał... - dodała, przyśpieszając.

- Nie bój się, będzie czekał. Ostatecznie to jego interes, nie nasz. Możemy zamówić u kogo innego.

- A on w rewanżu doniesie milicji - powiedziała, przelażąc z trudem przez splecione, zardzewiałe żelastwo, które kiedyś było najprawdopodobniej ramieniem żurawia.

- Nie gadaj głupstw - obruszył się mężczyzna - nie zna nawet naszych nazwisk.

Wyszli wreszcie na starą, brukowaną drogę, wzdłuż której ciągnęły się drewniane baraki. Tutaj było nieco bardziej zacisznie, wiatr nie niósł słonego deszczu, mogli iść szybciej. Przed nimi, w odległości kilkuset metrów, drogę zagradzał

drewniany płot, nad którym widniały огоłocone z liści gałęzie niskich drzew. Koło ostatniego baraku Jabłońska zwolniła i z wahaniem skierowała się w stronę drzwi. Weszła na kamienny stopień, obejrzała się uważnie, po czym zbliżyła twarz do małej, brudnej szybki. Nasłuchiwała chwilę, zanim zdecydowała się zapukać. Wewnątrz coś zaszleściło. Za szybą przesunęła się jakaś jasna plama, po czym zachrobotał zamek i w uchylonych drzwiach pojawiła się rosła postać, w wyszarganej marynarskiej bluzie. W głębi dostrzegli jasnopopielatą czuprynę drugiego mężczyzny, wyższego od tamtego co najmniej o półtorej głowy.

Pierwszy obrzucił ich nieufnym, taksującym spojrzeniem, rozejrzał się po otoczeniu baraku i cofnął bez słowa, pozostawiając drzwi otwarte. Kiedy weszli, zamknął je zaraz na klucz, który schował natychmiast do kieszeni.

- Macie forszę? - rzucił nieoczekiwanie cienkim głosem, nie przestając wpatrywać się w przybyłych. Ktoś, kto usłyszałby jego głos, mógłby sądzić, że mówi nieśmiały chłopiec, przechodzący właśnie mutację. Wystarczyło jednak raz spojrzeć na jego twarz czy ręce, aby uzmysłowić sobie, że jeżeli ten człowiek był nawet kiedyś nieśmiałym chłopcem, to czasy te należą do zapomnianej przeszłości.

Jabłońska skinęła w odpowiedzi głową. - Czy to on? - spytała, wskazując jasnowłosego.

- Nie, święty Piotr... - burknął człowiek w marynarskiej kurtce.

- Dawajcie forszę - dodał wyciągając rękę.

Mężczyzna przybyły z Jabłońską wysunął się krok do przodu. - Chwileczkę - powiedział spokojnie - najpierw musimy wiedzieć, co z towarem. Z rączki do rączki...

- Towar jest w porządku - odpowiedział niechętnie nieznamy. - Tu nie „emhade”... Tu się pracuje. - Odwrócił się do swojego kompana i powiedział coś do niego, ni to po niemiecku, ni po angielsku. Tamten w odpowiedzi uśmiechnął

się uprzejmie i wyciągnął rękę do Jabłońskiej.

- I am Jo - powiedział - dzendobły... - palce Jabłońskiej utonęły w wielkiej jak bochen, włochatej dłoni. Szwed, nie puszczając jej ręki, odwrócił się do mężczyzny, który ich tak nieuprzejmie przywitał, i o coś zapytał. Tamten wykrzywił twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech.

- On mówi - odezwał się - że pani mu się podoba. Pyta, czy to mąż? - wskazał ruchem głowy towarzysza kobiety.

- Tak - ucięła krótko Jabłońska. Jasnowłosy zrozumiał bez tłumaczenia, puścił wreszcie jej rękę i z żalem pokręcił głową.

- Gdzie maszyny? - spytała Jabłońska.

Mężczyzna w kurtce wskazał bez słowa za siebie. W głębi, pod ścianą, stały jedna na drugiej dwie spore paczki, opatrzone firmowymi znakami.

- Wszystko jest?

- Powiedziałem już, że tu się pracuje - obruszył się nieznajomy. Rzucił kilka słów kompanowi, który podał mu natychmiast złożoną kartkę papieru. Był to spis zawartości owych paczek, sporządzony przez biuro wysyłkowe.

Jabłońska przebiegła wzrokiem listę i podała ją swojemu towarzyszowi Ten, przestudiowawszy treść kartki, zerknął podejrzliwie na towar.

- Skąd mamy wiedzieć - prześliznął się wzrokiem po twarzach obydwóch mężczyzn - że to wszystko jest tam rzeczywiście?

- To rozpakujcie - człowiek w kurtce wyszczerzył zęby. Mężczyzna spojrział na paczki i zawahał się.

- Zostaw, Pawle - odezwała się po chwili Jabłońska. - Im można wierzyć...

- To jest mowa... to rozumiem - nieznajomy gwizdnął z uznaniem przez zęby. - No, to dawajcie forszę.

- A transport? - spytał mężczyzna, nazywany przez Jabłońską Pawłem.

- Spokojna czaszka - padło w odpowiedzi. - Najpierw forsa.

Jabłońska zważyła w dłoni podany jej przez Pawła pakunek.

- Ile? - spytała.

- Co to znaczy „ile”? - oburzył się nieznajomy. Powiedział kilka słów w swojej mieszance języków, na co jasnowłosy odpowiedział energicznym ruchem głowy.

- Jo, jo, jo - oświadczył. Jabłońska rozwinęła pakunek i wydobyla z niego gruby plik tysiączłówek. Cudzoziemiec rozjaśnił się na ten widok, podszedł szybko i stanął tuż przed kobietą. Zaczęła mu podawać pieniądze po jednym banknocie, licząc półgłosem. Jasnowłosy wtórował jej w swoim języku. Trwało to dość długo. Wreszcie ostatni banknot przeszedł do porośniętej jasnymi kudłami ogromnej dłoni mężczyzny. Odwrócił się natychmiast, odszedł kilka kroków, położył pieniądze na parapecie okna po przeciwnej stronie wejścia i zaczął przeliczać je ponownie. Do Jabłońskiej zbliżył się z kolei człowiek w kurtce.

- Ile? - spytała znowu kobieta.

- Nie podrożać...

Bez słowa skinęła na Pawła, odebrała od niego kilka banknotów pięćsetzłotowych i dała je mężczyźnie, który kiwnął głową i schował pieniądze do portfela. Następnie otworzył drzwi, wrócił po pierwszą z paczek i wyszedł z nią przed barak. Widząc to obcokrajowiec, który skończył wreszcie przekładać banknoty, schował je starannie, schylił się po drugą paczkę i z łatwością, znamionującą iście herkulesową siłę, złożył ją obok pierwszej. Zza bocznej ściany baraku dobiegł warkot motoru, po chwili na drogę wytoczyła się popielata warszawa pic-up. Mężczyzna w kurtce wysiadł z szoferki, nie gasząc silnika, i wspólnie z jasnowłosym wtaszczyli paczki do wnętrza wozu. Cudzoziemiec pokiwał im wesoło ręką, Jabłońska usiadła obok kierowcy, jej towarzysz z trudem usadowił się z tyłu i po chwili trzęśli się już na wysadzanym kocimi łbami drodze.



- Dokąd? - mruknął jegomość o cienkim głosie.

- Dworzec kolejowy. Ekspozytura towarowa - powiedziała Jabłońska.

Dojeżdżali do starej bramy portu. Przed nimi rozpościerała się szeroka ulica, którą mknęły samochody i trolejbusy. Jeszcze kilkanaście metrów i...

- Cholera! - zaklął człowiek w kurtce. Rzucił dwa razy kierownicą, jak gdyby chciał raptownie zawrócić. Było jednak za późno. Jak spod ziemi wyrosli funkcjonariusze milicji drogowej zagradzali wyjazd do miasta. Jeden z nich pokazywał im „lizakiem”, że mają się zatrzymać. Pisnęły opony, na suche liście przy drodze spadł grad żwiru i piasku, warszawa zatrzymała się gwałtownie dwa metry przed bramą.

- Co to, ojczulku - tęgi, rumiany kapral uśmiechał się rubasznie, podchodząc powoli do samochodu - nie lubimy tłoku? Nie szkoda wozu na takie kocie łby?

- Wóz jest w porządku - mężczyzna przy kierownicy zrewanżował się uśmiechem - wytrzyma...

- Zobaczmy - powiedział filuternym tonem kapral - papiery proszę... - Człowiek w kurtce podał mu bez słowa tekturową teczuszkę z kartą drogową i dowodem rejestracyjnym.

- Prawo jazdy... - upomniał kapral.

- Z tyłu też ktoś siedzi - zameldował jego towarzysz, który obszedł w tym czasie samochód i zajrzał do wnętrza.

- Józef Gryłka...? - kapral przeglądał uważnie dokumenty, nie przestając się uśmiechać. - My się skądś znamy...?

- Nie przypominam sobie... - powiedział nieznajomy, wpatrując się w twarz milicjanta. Ten złożył papiery i nie odając ich kierowcy przeszedł na tył wozu.

- Co tam wieziecie? - spytał.

- Wódka, ciuchy albo coś takiego - odpowiedział za kierowcą drugi funkcjonariusz. - Jeździło się na szmugiel, co?

- Chwileczkę - Jabłońska wyskoczyła z szoferki i podeszła do nich szybko - w tych paczkach jest sprzęt inwestycyjny,

upakowany fabrycznie, wolałabym nie otwierać... Jestem przedstawicielką firmy „Laura” ze Śląska - kosmetyki i środki piorące. Odkupiliśmy od pewnego tutejszego wytwórcy urządzenia i precyzyjne maszyny chemiczne. On sprowadził je w zeszłym roku z zagranicy, ale zanim nadeszły, zmienił asortyment, bo coś innego bardziej mu się opłacało, i maszyny stały cały rok bezczynnie. Mam akt kupna... - sięgnęła do torebki i podała kapralowi zmięty papier.

- To mnie nie interesuje - wycofał się milicjant. - Chciałbym tylko wiedzieć, co robiliście tutaj, w starych magazynach portowych? Tędy nie jedzie się na Śląsk. A może...? - w jego głosie zabrzmiała kpina.

- Ten wytwórca dzierżawi tutaj jeden z baraków. Tam trzymał te maszyny. Jedziemy przecież jego samochodem, z jego kierowcą... - „Nie będą sprawdzać” - przemknęło jej przez myśl. Wiedziała dokładnie, jak zachować się w podobnej sytuacji. A jeżeli... niech się martwi ten... pośrednik. Zarobił na nich ostatecznie niegorzej. Milicja musi go znać. Jeżeli ktoś tyle lat żyje z pośrednictwa między przemysłnikami a ich klientami... I to jak żyje! Człowiek w kurtce należał do śmietanki miejscowych spekulantów i paserów. Zajmował się niemal wyłącznie hurtem. Utrzymywał, jeśli tak można powiedzieć, kontakty z wieloma portami i wszystkimi niemal statkami zachodnich bander, które zawijały do Gdańska. Za jego pośrednictwem można było zamówić u przemysłników-marynarzy dosłownie wszystko - od kokainy do... precyzyjnej aparatury chemicznej. Kmita poznał go kilka lat temu, bawiąc na wczasach w Sopocie, i od tego czasu nieraz już korzystał z jego usług. Załatwiał te interesy początkowo sam, później wyręczał się od czasu do czasu swoją laborantką, Jabłońską. Dotychczas chodziło głównie o zaopatrywanie firmy w nielegalnie sprowadzone surowce, tym razem jednak „zamówienie” zrealizowane przez jasnowłosego marynarza ze Skandynawii opiewało na aparaturę chemiczną.

Uśmiechnięty kapral z drogówki poprosił również o pokazanie dowodów osobistych Jabłońską i jej towarzysza, przejrzał je dokładnie, po czym zwrócił wszystkim papiery, oświadczając wesoło, że na pewno dojadą szczęśliwie, bo on jest znany z tego, że przynosi kierowcom szczęście.

Dwadzieścia minut później paczki, zawierające aparaturę chemiczną dla firmy „Laura”, wędrowały już szeroką taśmą do magazynów ekspedycyjnych gdańskiego dworca. Jabłońska wzięła swojego towarzysza pod rękę i opuścili gmach, przytuleni do siebie, pochłonięci pozornie bez reszty własnymi, intymnymi sprawami.

Major Rogowski z komendy wojewódzkiej w Gdańsku odebrał pierwszy meldunek około godziny dziesiątej. Wszystko przebiegło zgodnie z jego oczekiwaniami. Kariera Józefa Gryłki alias „Basisty” - takie imię nosił wśród „swoich”, prawdopodobnie dzięki dziecinnemu głosikowi - dobiegała kresu. Nakaz aresztowania był już przygotowany i podpisany, mieli go zamiar „zdjąć”, kiedy okazało się, że maczał palce w transakcji, która interesowała kolegów z Katowic. Wstrzymali się więc do czasu przekazania szmuglu Jabłońskiej, nie chcąc płoszyć ptaszków, zamieszanych, jak wynikało z relacji tego kapitana ze Śląska, w morderstwo. Co do jasnowłosego marynarza... cóż, pewnie nigdy już nie zobaczy żadnego z polskich portów.

Z drugim meldunkiem przyszedł osobiście młody wywiadowca, jeden z dwóch oddelegowanych do śledzenia owej parki „zakochanych”.

- Towar nadany, teraz siedzą w „Parkowej” i piją kawę - meldował od drzwi. - Oto adres, pod jaki przesłano paczki - wyjął notes i usiadł przed biurkiem. - Paweł Drożny, Kielce, poste restante - czytał. Złożył notes i spojrzął na majora. - Coś się tutaj nie zgadza - powiedział z namysłem - ten kapitan Bula mówił, że wyślą to do Katowic...

- Paweł Drożny, Kielce, poste restante... - czytał Bula półgłosem. Odłożył telefonogram i zasepił się. Musieli coś przeoczyć. Chyba... Wstał gwałtownie, zasuwając z głośnym trzaskiem szufladę biurka. Wyszedł do kancelarii i polecił wezwać sierżanta Czernika i kilku wolnych w tej chwili ludzi z wydziału. Zamówił rozmowę z Kielcami i Gdańskiem, po czym wrócił do gabinetu mruczając coś pod nosem i potrząsając głową.

Zgłosił się Gdańsk. Bula podziękował krótko majorowi za wiadomość i zapytał, jak się nazywał mężczyzna, który towarzyszył Jabłońskiej. Usłyszawszy, że był to niejaki Paweł Zięba, właściciel warsztatu rzemieślniczego w Kielcach, rozpoznał się i poprosił o zatrzymanie faceta pod pierwszym lepszym pozorem. Majorowi nie przypadło to widać do gustu, bo targowali się jakiś czas, wreszcie Bula oświadczył, że przyjmuje całkowitą odpowiedzialność za ten krok i że to jest prośba pułkownika. To poskutkowało. Oczywiście, należało to zrobić dopiero po wyjeździe Jabłońskiej, żeby jej za wcześniej nie spłoszyć. Gdyby jednak wyjeżdżali razem, wtedy - prosił Bula - trzeba kogoś za nimi posłać i nie spuszczać ich z oczu. Ta parka wyglądała na to, że ma więcej na sumieniu. Działała za precyzyjnie jak na nowicjuszy.

Zameldował się sierżant Czernik. W tym samym czasie dyżurny w centrali połączył Kielce. Tam bez najmniejszych kłopotów zgodzono się wystawić koło okienka poste restante posterunek, którego zadaniem było sprawdzenie, kto odbierze paczki adresowane do Drożnego. Wspólników mogło być przecież więcej i to nie tylko do nielegalnych transakcji...

- Tak, synu - powiedział Bula, odkładając słuchawkę - w obleżonej twierdzy zaczyna się wojna domowa... wiesz już, kto zabił Żuławskiego? - zapytał nagle.

Czernik usiłował zebrać myśli. Drożny... przecież siedział razem z kapitanem w hallu. Kmita? Nie wiedział dokładnie, co zaszło w Gdańsku, ale orientował się, że chodziło o interesy

firmy „Laura”. Chusteczka, parapet, rozbudowa wytwórni, na którą potrzebował pieniędzy. Jeżeli rzeczywiście wszedł w spółkę z Żuławskim, mógł go po prostu usunąć, zarabiając w ten sposób niemal milion.

Ciągle jednak wracała natrętna myśl o Żuławskiej.

- Nie wiesz? - przerwał milczenie Bula - to dobrze. Bo to, czego dowiedzieliśmy się od tych z Gdańska, nie ma nic wspólnego z Żuławskim. To znaczy - poprawił się - owszem. Nawet do tego stopnia, że gdyby nie ci ludzie, których tam śledzimy, to Żuławski chodziłby prawdopodobnie po świecie zdrów i cały. Ale rozwiązanie, synu, rozwiązanie jest tutaj, na miejscu. - Kapitan przeszedł się kilka razy po pokoju. Wreszcie stanął i nie odwracając się do Czernika powiedział sucho:

- No, to do roboty. Czeka nas dzisiaj niezła zabawa. Wy, sierzancie, odwiedźcie Droźnego, Kmitę i Żuławską...

- Żuławską?! - wyrwało się Czernikowi. W jego głosie zabrzmiała skarga. Kapitan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale nic nie powiedział.

- Kmicie powiedz - ciągnął - żeby czekał na nas jutro około dwunastej. Pojedzie z nami do Osady. Powiesz, że chodzi o wizję lokalną, że potrzebujemy wszystkich, którzy tam wtedy byli. To samo z Droźnym. Ale jemu - podszedł do sierżanta i mówił, akcentując dobitnie słowa - opowiesz poza tym dokładnie, co znaleźliśmy w „Janinie”. Te szafy, anonim, zamki...

- Jak to... - zdumiał się Czernik.

- Nie przerywaj - rzucił Bula - słuchaj. - Otóż - wrócił do poprzedniego tonu - dasz mu do zrozumienia, że to wszystko nasunęło nam pewne podejrzenia. Oczywiście, nie mówiąc, o kogo chodzi. Dodasz tylko, że ten ktoś wyjechał z miasta nie wiadomo dokąd i że wszystko wskazuje na to, że dał drała. Jeżeli rzeczywiście uciekł, to tym samym potwierdził nasze przypuszczenia. Bo przecież nie mieliśmy jeszcze pewności. Zapamiętasz?

Sierżant skinął głową.

- Dobrze - rozpogodził się Bula. - A jeśli chodzi o Żuławską, powiesz jej tylko, żeby dzisiaj wieczorem nie wychodziła z domu. Jeżeli zaprosiła gości, niech ich przeprosi. Ma być cały wieczór w domu, i to sama. Jasne?

- Tak jest, obywatelu kapitanie - powiedział niepewnie Czernik.

- No, to zjeżdżaj, synu - kapitan ujął go delikatnie za ramię i odwrócił twarzą w stronę drzwi. - Powodzenia!

Półtorej godziny później kapitan Bula żegnał się z rodzicami Józefa Bartosia, czyli Józia, zatrzymanego w bramie, w której napadnięto sierżanta Czernika.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie kapitanie - mówiła Bartosiowa, kiedy zostali sami w niewielkim przedpokoju. Jej mąż towarzyszył synowi w sypialni.

- Tylu lekarzy go badało - ciągnęła kobieta, ścierając z policzków ślady łez - żaden nie robił nam nadziei...

- Nie ma za co dziękować - przerwał kapitan - trzeba jednak bardziej na niego uważać. Doktor Kulski też nie był pewny... ale on zwykle bywa bardzo powściągliwy. Znam go od lat. Jeżeli powiedział, że można zaryzykować operację, to ja na pani miejscu byłbym dobrej myśli.

- A nie będzie odpowiadał za ten... za to, co zrobił? - z troską się nagle kobieta.

Bula uśmiechnął się. - Tylko w tym wypadku - powiedział łagodnie - gdyby jego ofiara złożyła skargę. Mogę zapewnić, że to państwu nie grozi.

- Proszę pana, tu jest kolejka! - głos kobiety zabrzmiał jazgotliwie, zaczepnie, aż szklane ściany buksów odpowiedziały niemiłym rezonansem.

- Dobra, dobra...

Na dźwięk tego drugiego głosu przez twarz Wolskiego przemknął cień. Natychmiast jednak podniósł głowę i

uśmiechnął się.

- Czy może pana ktoś na chwilę zastąpić? - spytał, nie witając się, Bula.

- Przepraszam państwa - powiedział głośno kasjer. Sprzątnął ważniejsze dokumenty do szuflady, wstał i zniknął za drzwiami, okrytymi ciężką zasłoną. Bulą, nie zważając na nieżyczliwe spojrzenia i pomruki czekających w kolejce, podniósł drewnianą kładkę, wszedł za kontuar i skierował się w stronę drzwi, za którymi zniknął Wolski.

Dyrektor był w Warszawie, na konferencji. Wolski zaprowadził kapitana do jego gabinetu. Bula zamknął starannie obite wypchaną dermą drzwi, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu i sięgnął po papierosa.

- Panie Wolski - zaczął - przykro mi, ale będziemy musieli na kilka godzin wyrwać pana jutro z pracy. Chodzi o to morderstwo w Osadzie. Robimy tam jutro coś w rodzaju rekonstrukcji nocy jedenastego listopada i zależy nam na tym, żeby wszyscy ówcześni goście Zawodzkiej byli przy tym obecni. Przyjedziemy po pana około dwunastej w południe, dobrze?

- Będę się musiał zwolnić... - odparł po chwili kasjer.

- To już my załatwimy. To byłaby pierwsza sprawa... - Bula wstał, podszedł do biurka, strzepnął popiół z papierosa i zaczął krążyć tam i z powrotem w poprzek gabinetu. Wolski przyglądał mu się z uprzejmym, acz wolnym od entuzjazmu zaciekawieniem.

- Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy już o tym... - podjął po chwili kapitan. Był to wstęp, który ludziom znającym dobrze Bulę byłyby dał dużo do myślenia. - Bo widzi pan, oni wszyscy twierdzą, że nie znali Żuławskiego. A może się na przykład okazać, że któryś z nich towarzyszył mu kiedyś, kiedy Żuławski załatwiał coś w waszym banku.

- Inżynier Żuławski przychodził zazwyczaj bez towarzystwa - rzekł Wolski.

- Zazwyczaj - podkreślił Bula. - To nie znaczy: zawsze. Nie wolno nam przeoczyć żadnej okazji przyłapania mordercy na kłamstwie. - Kapitan zdusił papierosa i zaczął się żegnać. Już przy drzwiach stanął nagle, odwrócił się i powiedział:

- Byłbym zapomniał. Jak często wysyłaliście Żuławskiemu te wyciągi z jego konta?

- Po każdej wpłacie i po każdej wypłacie. Mniej więcej cztery, pięć razy w miesiącu - odrzekł kasjer nieco zdziwionym tonem.

Kapitan skinął potakująco głową... - Tak myślałem - powiedział - niech pan sobie wyobrazi, że nie mogłem znaleźć tych wyciągów w papierach Żuławskiego. Takie rzeczy przechowuje się zwykle starannie, prawda? Szukałem ich, bo interesuje nas, co Żuławski zrobił z tymi pieniędzmi, które u was pobrał... Dopiero dzisiaj rano zadzwoniła jego żona... to znaczy, wdowa, że coś znalazła pod szafą pancerną w gabinecie. Będę ją musiał o to jutro spytać. Ona też tam będzie, w Osa-dzie...

Sierżant Czernik zameldował się u kapitana punktualnie za pięć minut ósma. Tego wieczora w komendzie był wyjątkowy ruch, szefowie przyjmowali jakąś delegację zagraniczną i Bula, zmuszony do różnych świadczeń towarzyskich, był wściekły i nieszczęśliwy. Skrupiło się to natychmiast na Czerniku, który musiał kilkakrotnie powtarzać słowo w słowo wszystko to, o czym rozmawiał z Drożnym, Kmitą i Żuławską. Kapitan wspomniał coś o współczesnej cywilizacji, która sprawia, że skleroza atakuje coraz młodsze umysły, napomknął też mimochodem, że istnieje taka nauka, jak logika, która jest nauką o prawidłach myślenia, i że nie byłoby od rzeczy przyswoić sobie jej zdobycze, aby umieć przynajmniej formułować do rzeczy zdania, jeżeli już mają być tak dokładnie wyprane z jakichkolwiek myśli - słowem, sierżant nie mógł mieć wątpliwości, że szef jest z niego zadowolony. Zresztą, wykonał



skrupulatnie polecenia Buli i, pomimo nieprzespanej nocy, był gotów podjąć ochoczo zapowiedzianą przez kapitana „prawdziwą robotę”.

Bula umilkł wreszcie, przeszedł się kilka razy po pokoju, po czym bez słowa podał Czernikowi ostatni meldunek z Kielc. Wynikało z niego, że Zięba, właściciel warsztatu przy ulicy Krzywej, nabył ostatnio działkę budowlaną pod miastem, na Karczówce, i otrzymał koncesję na prowadzenie wytwórni kosmetyków, przy czym cała niemal produkcja miała być przeznaczona na eksport. Ziębę widywano ostatnio często w towarzystwie Barbary Jabłońskiej z Katowic, która przyjeżdżając do Kielc zatrzymywała się - jak mówiła zgorszona ponoć dozorczyńni - w jego mieszkaniu. Adresat przesyłki, która miała nadejść na poste restante, Paweł Drożny, był dobrze znany kieleckiej milicji. W czterdziestym ósmym roku odpowiadał za nielegalny handel złotem, potem do spółki z Ziębą prowadzili jakiś warsztat chałupniczy, bodajże tkacki. Od wyjazdu Drożnego Zięba nie miał zatargów z władzami. Przerzucił się na ślusarstwo, skończył kurs, prowadził swój warsztat porządnie i regularnie płacił podatki. Ostatnio zapisał się do zaocznego technikum chemicznego, co pozwoliło mu uzyskać koncesję na wytwórnię kosmetyków.

- Specjalnie zaadresowali na nazwisko Drożnego, żeby nie zwrócić w Kielcach niczyjej uwagi... - powiedział Czernik, oddając meldunek kapitanowi.

- Uhm... - Bula podszedł do wieszaka i zaczął wkładać płaszcz.

- W każdym razie - ciągnął Czernik - kółko się zamknęło. Mamy już całą paczkę. Widać laborantka Kmity postanowiła się usamodzielnąć. Jasne, że chcą mu otworzyć w Kielcach konkurencję... Gdyby się dowiedział, zmyłby babie głowę, że aż miło. Ale w takim razie... - zamyślił się - w takim razie - powtórzył - jak to właściwie było z tą spółką, w którą wszedł podobno Żuławski? Może chodziło o Drożnego, a nie o

Kmitę?

- Dość tego, synu - Bula otworzył drzwi i ruchem głowy wyprosił sierżanta z pokoju. - Jedziemy.

Kapitan położył rękę na ramieniu kierowcy i wskazał mroczny zaułek między domami.

- Żadnych świateł. Ani papierosów - upomniał, wyłażąc z gazika w sam środek błotnistej kałuży.

Dochodziło pół do dziewiątej. Ulica była pusta. Zza domów dolatywał wieczorny pomruk śródmieścia. Szli powoli, nie rozglądając się. W pewnym momencie Czernik zauważył charakterystyczne wybrzuszenie w prawej kieszeni płaszcza kapitana. Bula rzadko zabierał ze sobą broń. Czernik obejrzał się i odruchowo poprawił służbową kaburę przy pasie.

Dochodzili już do budynku, poprzedzającego bezpośrednio willę Żuławskich. Bula przystanął przy uchylonej, żelaznej furcie. Rozejrzał się nieznacznie w prawo i w lewo, po czym wszedł spokojnie do otaczającego dom ogrodu, ruchem głowy polecając Czernikowi, by poszedł w jego ślady.

Ogród był pogrążony w niemal zupełnej ciemności. Mieszkańcy mającej w głębi willi musieli dbać o kwiaty, na wszystkich grządkach widniały jaśniejsze od otoczenia kukły opatulonych na zimę różanych krzewów. Poza tym w ogrodzie rosły karłowate drzewka i wysokie krzaki. Płot, a raczej metalowa siatka, odgradzająca go od ulicy była porośnięta winoroślą.

Jedna ze starannie wytyczonych ścieżek wiodła wzdłuż ogrodzenia sąsiedniego domu. Była to willa Żuławskich. Jej tragicznie owdowiała gospodyni była u siebie. Szyby okien na parterze połyskiwały martwo w nikłym blasku ulicznych latarni. Jednak w narożnym pokoju na piętrze, za kremowymi zasłonami, paliła się stojąca lampa. Jej stożkowy abażur rzucał wydłużony cień na rosnące pod oknem drzewko.

Bula, pochyliwszy głowę, obserwował wyłożoną betono-

wymi płytkami alejkę, wiodącą od bramki do drzwi wejściowych. Ogród domu Żuławskich nie był tak starannie utrzymany jak ten, do którego wtargnęli. Rosło tam również mniej drzew i krzewów. Za to w kątach po obu stronach wejścia wznosiły się dwa ogromne, srebrne świerki. Kapitan, zlustrowawszy dokładnie otoczenie domu, ruszył wolno, odgarniając rękami mokre gałęzie winorośli, w stronę ulicy. Zatrzymał się naprzeciw czerniejącego tuż po przeciwnej stronie siatki świerku i ponownie oszacował strategiczne walory wybranego punktu obserwacyjnego. Egzamin wypadł widać zadowolająco, bo odwrócił się nagle, chwycił Czernika za połę płaszcza i przyciągnął go ku sobie, wskazując równocześnie rozkazującym gestem ogrodzenie.

- No, synu, przełaż...

Splótł ręce na brzuchu i nie drgnął nawet pod ciężarem krzepkiego, służbowego buta. Kiedy przeprowiony w ten sposób sierżant znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia, przywołał go ruchem głowy i przybliżywszy twarz do siatki, powiedział cicho:

- Wejście, płot i tył domu... Gdyby ktoś się skradał, złam suchą gałąź. Siedź tutaj za tym świerkiem, aż cię zawołam, chyba żeby zaczęło być naprawdę gorąco. Ja jestem po przeciwnej stronie...

Czernik chciał spytać, skąd u licha ma wziąć suchą gałąź w tym nasiąkłym od wielodniowej ulewy grzęzawisku i co kapitan rozumie przez „naprawdę gorąco”, ale zanim zdążył otworzyć usta, Bula był już przy furtce. Uchylił ją szerzej i zniknął sierżantowi z oczu.

Dolne konary świerku zwisały żałośnie ku ziemi. Czernik wypatrzył coś, co od biedy nadawało się do złamania. Był to niewielki drążek, prawdopodobnie porzucony dyszel dziecięcego wozika. Prostując się potracił głową gałąź. Posypały się duże krople, jedna z nich trafiła w sam środek szczeliny między karkiem a sztywnym kołnierzem koszuli. Zaklął w duchu i

otrząsnął się. Od palców u nóg wędrował w górę przenikliwy ziąb. Stał tutaj zaledwie kilka minut. Co będzie dalej?

Nagle jego wyczulony słuch pochwycił jakiś szelest, dobiegający, jak się zdawało, z przeciwległego rogu parceli. Mimo zmęczenia i chłodu poczuł się raźniej na myśl, że kapitan zajął już swoje stanowisko, że już dwie pary oczu obserwują dom, który miał się niebawem stać widownią... właśnie, czego? Fakt, że Bula nie poinformował go, o co właściwie chodzi w tej całej eskapadzie, można było sobie wytłumaczyć w jeden jedyny sposób. Kapitan nie był pewien, czy stanie się to coś, na co czekali, czy ten ktoś przyjdzie. Zarzucił sieć, zrobił wszystko, żeby zwabić w nią grubą rybę - całe jego zachowanie świadczyło, że nie może chodzić o płotkę - nie miał jednak pewności, czy przynęta była dostatecznie łakoma, czy ryba weźmie. Żuławska nie wchodziła w grę. Przecież sam Czernik na polecenie kapitana kazał jej siedzieć dzisiaj w domu. A zatem ktoś powinien nadejść...

Przesunął się odrobinę w prawo. W jego polu widzenia znajdowały się teraz zarówno furтка, jak i dwie ściany domu: boczna i frontowa. Mijały sekundy, z sekund robiły się minuty, z minut... Ostrożnie podniósł do oczu rękę z zegarkiem. Byłby przysiągł, że sterczy już pod tym mokrym świerkiem bite dwie godziny. W rzeczywistości upłynęło zaledwie czterdzieści minut. Na piętrze brzęknęło otwierane okno i na tle jasnego prostokąta, jak na świetlistym ekranie, ukazała się czarna sylwetka Żuławskiej. Dziewczyna odetchnęła głęboko i wycofała się w głąb pokoju. Po upływie kilkunastu minut wróciła, wychyliła głowę zwracając twarz ku górze, wreszcie nie śpiesząc się zamknęła okno, na które natychmiast spłynęła kremowa zasłona. W tym samym momencie dobiegł Czernika jakiś dźwięk. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, skąd pochodzi i co oznacza. Coś skrzypnęło cicho, równocześnie zerwał się lekki wiatr i szuranie gałęzi zagłuszyło dźwięk. W pierwszej chwili nie mógł się

zorientować, skąd szmer zmusił Czernika do podniesienia głowy. Poczul na policzkach i czole zimne krople. Deszcz. Tylko tego brakowało. Raptem pochwycił kątem oka jakiś ruch po przeciwnej stronie ulicy. Odruchowo ukrył się głębiej za świerkiem i znieruchomiał.

Ktoś nadchodził. Nie byłoby w tym nic dziwnego, pomimo że od kiedy zajęli swoje stanowiska, ulicą Wiśniową przeszło zaledwie kilka osób, gdyby nie to, że nieznajomy kroczył nie wydając najmniejszego szmeru. „Kroczył” jest zresztą wyrażeniem nieodpowiednim. Zanim Czernik zwrócił na niego uwagę, zdążył już przejść na ich stronę jezdni. Sunął teraz wzdłuż płotu. W szparach między gałązkami winorośli przesuwała się jego ciemna sylwetka, sylwetka średniego wzrostu mężczyzny, w płaszczu, z podniesionym kołnierzem i z nasuniętym nisko na twarz kapeluszem. W ruchach nieznajomego było coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się podejrzane. Przypominał skradające się zwierzę. Nie sądził, widać, że ktoś może go obserwować i dbał tylko o to, żeby nie sprawiać hałasu. Doszedł w ten sposób do furtki, przystanął i rozejrzał się dokoła. Następnie, utkwivszy wzrok w oświetlonym oknie pokoju Żuławskiej, wśliznął się do ogrodu. Stał chwilę nieruchomo, po czym zaczął iść wzdłuż betonowej alejki, w stronę wejścia. Jego twarz pozostawała cały czas w cieniu. Raz tylko, przez ułamek sekundy, spoczęło na niej światło latami, poderwanej silniejszym podmuchem wiatru. Czernik uniósł powoli trzymany w ręku patyk i oparł go na kolanie. W tym momencie pograżony dotychczas w martwej ciszy ogród nagle ożył. Trzaskowi drążka odpowiedziało kichnięcie, które przeszło w głośnie siąkanie. Zaraz potem rozległo się niezadowolone mamrotanie i człapiące kroki. Między winoroślą zamajaczyła opatulona postać kobiety, zbliżającej się do furtki Żuławskich. Mężczyzna w ogrodzie cofnął się gwałtownie i przywarł plecami do jednego ze słupków, stojących po obu stronach bramki. Furtka zgrzytnęła krótko i kobieta weszła do ogrodu. Czer-

nik, pamiętając o wskazówkach kapitana, obserwował tę scenę z zapartym tchem.

- Ratunku! Mili... - krzyk kobiety, która natychmiast po przekroczeniu furtki musiała zauważyć zaczajonego za nią mężczyznę, przeszedł w zdławione rżenie. Krzak po przeciwnej stronie ogrodu ożył nagle i ruszył szybkim truchtem w kierunku szamocących się postaci. Napastnik, spostrzegłszy, że wpadł w zasadzkę, pchnął z całej siły kobietę w stronę nadbiegającego Buli. Zanim Czernik wybiegł na ulicę, mignął mu jeszcze obraz kapitana, tarzającego się w błotnistej alejce z uczeploną jego szyi i wrzeszczącą wniebogłosy kobietą. W oknach okolicznych domów zapalały się światła, ktoś wołał głośno, wzywając milicję. Ulica rozbrzmiała głośnym tupotem.

- Stój!

- Stój, bo strzelam! - biegnąc, targał zgrabiętymi palcami zapięcie kabury. Kiedy się z tym uporał, mężczyzna zniknął za rogiem ruchliwej w ciągu dnia przecznicy. Czernik dobiegł do rogu i zatrzymał się, bacznie lustrując ulicę. Była pusta. Tylko w oddali zamigotały tylne światła samochodu. Były jednak za daleko, aby ścigany mógł z tego wozu skorzystać. Czernik wpadł do pierwszej bramy, zapytał o telefon i po upływie kilkunastu sekund rozmawiał już z dzielnicową, wzywając pogotowie. Kierowca ich gazika, który nie mając wyraźnego rozkazu przepuścił przedtem uciekającego, ruszył teraz w pościg. Wszystkie te zabiegi, aczkolwiek niezbędne, nie dały żadnego rezultatu. Po upływie trzydziestu minut sierżant Czernik wracał wolnym krokiem do willi Żuławskich. Poszukiwania trwały, ale szukający nie mieli już nadziei schwytania zbiega. Willowa, częściowo tylko zabudowana dzielnica dawała w ciemności zbyt wiele możliwości ucieczki. A tramwaje, autobusy i taksówki stały do dyspozycji w odległości zaledwie kilku minut drogi.

- Kto tam? - zapytał kobiecy głos, kiedy zapukał do drzwi.

Głos ten wydał mu się znajomy. Powiedział, kim jest, szczerknął łańcuch i w uchylonych drzwiach ukazała się twarz... Cieślakowej.

- Żadne licho, panie władzo - obruszyła się kobieta - żadne licho. Elżunia sama teraz jak palec, więc kiedy skończyłam pranie, pomyślałam, że pójdę zobaczyć, jak się czuje i jak sobie radzi. Upiekłam trochę ciasta... o, proszę, co ten bandzior narobił - wskazała powalane ziemią zawiniątko, które wyglądało tak, jakby przejechał po nim walec drogowy. - A pan mówi, że licho mnie tu przyniosło... - zakończyła ze skargą w głosie.

- Jest pani bardzo kochana, pani Helenko - rozładowała sytuację Żuławska - Nie trzeba było tego robić... pani ma tyle pracy...

- E, co tam - Cieślakowa, udobruchana, machnęła ręką - to dla mnie przyjemność. - Co chwilę podnosiła dłoń do szyi, jakby chcąc sprawdzić, czy palce napastnika naprawdę nie pozostawiły żadnych śladów.

- Panie kapitanie - powiedziała nagle Żuławska - czy on nie wróci? Zostawi pan tu kogoś?

- Zostawię - mruknął Bula. - Ale nie wróci - dodał po chwili. Czernik spojrział na niego spod oka. Kapitan zdawał się być pewny tego, co mówi. Wszystko wskazywało na to, że wie, kto podkradał się do domu Żuławskiej. Jeżeli tak, to na co czeka? Czy nie należało tego kogoś po prostu zamknąć? Człowiek ten najwidoczniej nie przebierał w środkach. Sierżant dałby dużo, żeby się dowiedzieć, czy zbrodniarz zamierzał włamać się ponownie do tej willi, czy też szedł na spotkanie z jej gospodynią. Tak czy inaczej Cieślakowa spłoszyła go dosłownie w ostatniej chwili. Przypuszczalnie byłaby zresztą drogo za to zapłaciła, gdyby Bula nie zorganizował zasadzki. Jeżeli kapitan wiedział tak dużo, że potrafił przewidzieć akcję swojego przeciwnika, to dlaczego pozwala mu działać? - wró-

ciło pytanie.

- Pójdziemy już - Bula wstał ciężko z fotela i pożegnał się z Żuławską. Gospodyni, która przyszła już do siebie po wstrząsie, jaki wywołał krzyk Cieślakowej, a potem jej wstrząsająca opowieść, przerywana spazmatycznym łkaniem, patrzyła na kapitana z uznaniem i wdzięcznością. Nie kryła wprawdzie swojego rozczarowania, kiedy Bula odmówił wszelkich wyjaśnień, odkładając je do jutrzejszej wizyty - jeśli można to nazwać wizytą - w Śląskiej Osadzie - ale nie nalegała. Zajście przerwało jej wieczorną toaletę, miała na sobie miękki, brzoskwiniowy szlafroczek z głębokim wycięciem. Matowa, śniada karnacja ramion i piersi, a może resztki letniej opalenizny, pięknie harmonizowały z kolorem materiału. Cała jej smukła postać zdawała się promieniować uwodzicielskim ciepłem. Czernik usilnie wpatrywał się w oczy kapitana, niemniej jednak jakimś trafem nie uronił najmniejszego szczegółu tego widoku.

- No i tak synu - mówił Bula, zajmwszy miejsce obok kierowcy. - Jeżeli ci będą mówić, a będą ci mówić, że przypadek w naszej służbie nie może odgrywać żadnej roli, opowiesz o towarzyskich zapędach Cieślakowej, o jej dobrym sercu i cieście.

Kapitan zapalił papierosa i zaczął obserwować ulicę. Przejeżdżali przez nowe śródmieście. Bula znał to miasto, w którym się wychował, niemal wyłącznie z okien samochodu. Peryferie, dzielnice podmiejskie, rozsiane po całym ogromnym obszarze osiedla, to co innego. Większość spraw, które prowadził, rozgrywała się z dala od strzelistych, prostych domów, szerokich arterii, neonów. Zbrodnia unika na ogół światła i przestrzeni. Chociaż...

- Bylibyśmy go mieli - mruknął nagle, nie odwracając głowy. - Przyszedł. Strzał był celny, synu... - Czernik pochylił się do przodu i chciwie słuchał. - Dawno już nie mieliśmy do czynienia z tak inteligentnym przeciwnikiem - ciągnął kapi-



tan. - Widzisz, synu, gdybyśmy go zdjęli, pozostałaby już tylko jedna jedyna szansa - że się sam przyzna. Obawiam się, że najlepszy prokurator nie byłby mu w stanie niczego udowodnić.

Była to częściowa przynajmniej odpowiedź na nie wypowiedziane pytanie sierżanta.

- Diabli nadali tę Cieślakową - mruknął jeszcze Bula. - No cóż, teraz pozostaje już tylko ten jutrzejszy teatr. Nie lubię takich szopek... - zakończył ponuro.

## 10.

- To byłoby wszystko - Bula uniósł głowę i utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie. Stał w połowie schodów prowadzących w sieni willi, „Janina” na piętro, tak jak tamtej nocy, kiedy po odkryciu morderstwa zaalarmował dom.

- I co teraz? - odezwał się po chwili milczenia Drożny. Czernik spojrział na niego niechętnie, po czym powiedział sucho, nie patrząc na nikogo z obecnych:

- Odtworzyliśmy przebieg zbrodni... a raczej nocy, której została dokonana. Niektórzy z państwa nie orientowali się, jak to było. Myślę, że przejdziemy teraz do hallu? - spojrział pytająco na kapitana.

Bula skinął głową, sięgnął po giewonta i manewrując zapalkami, zszedł na dół.

- Proszę - powiedział Czernik, wskazując drzwi.

Pierwsza weszła Żuławska. Podeszła wolno do okna i usiadła na odsuniętym od stolika krześle, odwracając twarz od niej sca, w którym zatrzymał się Bula. Przy tym samym stoliku, po przeciwnej stronie, zajął miejsce Wolski. W głębi pokoju, pod ścianą, ulokowali się Kmita i Zawodzka. Drożny, mrużąc coś pod nosem, przysiadł na parapecie.

- Wiecie teraz wszyscy dokładnie to samo - podjął Bula, siadając za biurkiem - co wiedzieliśmy my, prowadzący to śledztwo, bezpośrednio po zamordowaniu Żuławskiego. Po wiem teraz państwu coś więcej. Pewien człowiek, a może dwóch czy też dwoje ludzi, postanowiło zabić trzeciego. Ten, który wpadł na ów pomysł, jest człowiekiem bystrym, inteligentnym i obdarzonym nieprzeciętną wyobraźnią. Wiedział, że podejrzenie pada przede wszystkim na kogoś, kto odniósł dzięki śmierci ofiary bezpośrednią korzyść - Bula przeszedł przed biurko i rozsiadł się wygodnie na jego płycie. Mówiąc, wpatrywał się beznamiętnym wzrokiem w okno, od czasu do

czasu rzucając krótkie spojrzenia sierżantowi, który zatrzymał się w drzwiach, wychodzących do sieni. - Bo jest przecież oczywiste, że tej zbrodni nie dokonano z pobudek emocjonalnych. Nie. Motywem była chęć zysku. Cóż więc postanowił zrobić morderca? Przede wszystkim ukryć fakt, że śmierć Żuławskiego była dla niego korzystna. To mu się niemal udało. Następnie trzeba było przeprowadzić rzecz tak, żeby podejrzenie padło na kogoś innego, kogoś, kto również mógł być materialnie zainteresowany w pozbyciu się Żuławskiego. I tutaj morderca błysnął nieprzeciętną inteligencją. Jest w jednej z beskidzkich wiosek mały pensjonat, cieszący się dobrą opinią i zasłużoną frekwencją - Zawodzka odruchowo spojrzała w tym momencie na kapitana. Przez jej pobladłą twarz przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. - Oczywiście - ciągnął Bula - w lecie i w zimie. Wiosną, a jeszcze częściej jesienią, nie ma w nim żywego ducha, poza jedną jedyną gospodynią, kobietą, którą łatwo sterroryzować, zastraszyć, wreszcie zmusić do milczenia. Trzeba więc ściągnąć do tego hoteliku kilku panów dobranych tak, aby żaden z nich nie miał kryształowo czystych rąk, aby żaden z nich naprawdę nie znał Żuławskiego, ale aby równocześnie każdy mógł go znać i mieć wspólne z nim interesy. Jednym słowem, zasugerować milicji konkretną sytuację, w której śledztwo musiałoby się potoczyć fałszywym torem. Aby w tej konkretnej sytuacji stworzyć jak najwięcej poszlak i wątków, podrzucić jak najwięcej śladów, oczywiście wiodących do ślepych uliczek, sprokurować silną, liczną konkurencję dla ukrytego starannie tropu - prawdziwego. Plan został przeprowadzony, trzeba to przyznać - po mistrzowsku. Morderca wybrał sobie jedną czy dwie osoby z grona prywatnych przedsiębiorców, takich, którzy nie zawsze są w zgodzie z obowiązującymi przepisami... wydziałem finansowym, przez pewien czas śledził każdy ich krok i skrupulatnie zbierał informacje o ich nielegalnych transakcjach, by wreszcie pod pseudonimem

„Robin Hood” nawiązać z nimi kontakt mający wszelkie cechy szantażu, kontakt, którego epilogiem miało być ściągnięcie ich na miejsce zbrodni. Musieli przyjechać - i przyjechali. Ale to nie wszystko. W ten sposób morderca znalazł się w gronie przypadkowo - na pozór - dobranych osób, z których każda po wykryciu zbrodni musiała wejść w krąg podejrzanych. Teraz należało wyłączyć z tego kręgu siebie samego. Jak to zrobić? Po prostu - dokooptować do towarzystwa oficera dochodzeniowego i tak manewrować, aby mógł zapewnić alibi, najbardziej ze wszystkich możliwych przekonujące. Panie Drożny - Bula zsunął się z biurka i podniósł głos - popełnił pan zaraz na początku błąd nie do darowania. Wiedziałem, że człowiek, który zaalarmował milicję, będzie szukał mojego towarzystwa. W momencie, kiedy zaproponowałem mi pan partię szachów, wiedziałem, komu mam do zawdzięczenia tę noc w „Janinie”. Niestety, nie przewidziałem ilości asów w tej grze... inaczej Żuławski cieszyłby się teraz najlepszym zdrowiem...

Drożny wyprostował się powoli. Oczy zwęziły mu się w ciasne szparki, zacisnął szczęki i postąpił krok do przodu. Czernik odruchowo oparł rękę na kaburze. Ten ruch powstrzymał Drożnego. Przetarł ręką czoło jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu, po czym odetchnął głęboko i wykrzywił twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech.

- Pan twierdzi, że to ja zabiłem Żuławskiego? - odezwał się zduszonym szeptem.

- Twierdzę, że jest pan odpowiedzialny za jego śmierć - odparł Bula. Uśmiech znikł z twarzy Drożnego.

- Któryś z nas zwariował, kapitanie! - wybuchnął. - Kiedy na górze mordowano Żuławskiego, ja siedziałem tutaj i grałem z panem w szachy!

- A przedtem wyszedł pan w mojej obecności na piętro, rzekomo spytać Żuławskiego, czy nie ma wódki, a naprawdę, aby upewnić mnie, że kiedy zasiedliśmy do gry, on jeszcze żył

- odparował spokojnie Bula.

- Bzdury! - wykrzyknął Drożny. - Miałem ochotę na coś mocniejszego. Było zimno jak w psiarni, głucha noc, siedzieliśmy tutaj we dwójkę... zresztą, jakie to może mieć znaczenie! Kiedy siadaliśmy do gry, Żuławski żył, jak pan sam powiedział. Żaden z nas stąd nie wychodził. Kiedy skończyliśmy, było już po wszystkim. Nie wiedziałem, że w milicji pracują metafizycy... wierzący w rozdwojenie jaźni. Zresztą, musiałyby to być raczej rozdwojenie ciała. Jakim cudem mogłem go zabić?!!!

- Nie twierdzę, że pan go zabił - oświadczył Bula - powiedziałem tylko, że jest pan odpowiedzialny za jego śmierć

- Pan naprawdę zwariował! - Drożny odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna. Stał zwrócony twarzą w stronę ogrodu, jakby chciał dać do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

- Obawiam się - odezwał się półgłosem Bula - że będzie pan miał kłopoty z odebraniem tej paczki w Kielcach.

Drożny odwrócił się bardzo powoli. Spojrzał na Bule z takim wyrazem w oczach, że Czernik zdecydował się odpiąć kaburę. Kmita, który siedział najbliżej okna, cofnął się odruchowo wraz z krzesłem. Głowy obecnych wędrowały zgodnym rytmem w lewo i w prawo, jak na meczu tenisowym.

- O jaką paczkę chodzi? - wycedził przez zęby Drożny.

- O tę z Wybrzeża... - wyjaśnił uprzejmym tonem Bula - tę, którą nadała Jabłońska.

- Kto??? - Kmita zerwał się na równe nogi. - Jaka Jabłońska? Moja laborantka jest teraz na Wybrzeżu!

- Gdzie załatwia zakupy dla rozbudowującej się wytwórni chemicznej w... Kielcach - uzupełnił kapitan.

- Jak to?!!! Co to ma znaczyć? Pan mnie chce w coś wrobić! Moja laborantka nie może mieć z tym nic wspólnego!

Bula, nie spuszczać wzroku z Drożnego, pokiwał ze smutkiem głową. - Obawiam się - powiedział po chwili - że

pan bardzo mało zna Barbarą Jabłońską Nie wie pan na przykład, że ma romans z niejakim Pawłem Ziębą, budującym w Kielcach prywatną fabryczkę kosmetyków. Będzie pan mieć groźną konkurencję. Bo Jabłońska nie tylko przekaże im wszystkie technologiczne sekrety firmy „Laura”, nie tylko jako kwalifikowana siła będzie dbać o dobrą jakość swoich szminek i specyfików, ale także wniosła do spółki nowoczesną aparaturę, którą kupiła od pewnego marynarza ze szwedzkiego statku... za grube tysiące złotych. Jak pan myśli, skąd wzięła na to pieniądze?

- Nic nie wiem o żadnej paczce - oświadczył oficjalnym tonem Drożny. - Jeżeli ktoś posłużył się moim nazwiskiem, to ja nie mogę za to odpowiadać...

- A za wpuszczenie mordercy do tego domu, wskazanie mu pokoju, w którym spał Żuławski, umożliwienie bezpiecznego wyjścia po dokonaniu zbrodni - także nie może pan odpowiadać?

- Ty... - Drożny zmiął w ustach przekleństwo. - Nikt nie jest mi w stanie tego udowodnić!

- Myli się pan - oświadczył kapitan. - Na liście, podrzuconym gospodyni, znaleźliśmy odciski pana palców. Działał pan bardzo ostrożnie, ale przecież wtedy, kiedy dom był pełen funkcjonariuszy, kiedy prowadziliśmy pierwsze przesłuchania, nie mógł pan użyć rękawiczek... To był drugi błąd, panie Drożny... zresztą, wynikał z założenia. Bo założyliście, że w tej sprawie będzie jak najwięcej podejrzanych, prawda? A ten anonim załatwiał wam dwie sprawy - wskazywał na Zawodzką jako owego „Robin Hooda” i na Żuławską jako morderczynię. Za dużo na raz, drogi panie... - Zapanowało milczenie. Drożny zwarł się, zacisnął pięści, wydawało się, że runie na kapitana i rzuci się do ucieczki. Czernik zastawił sobą drzwi. Zawodzką zerwała się z miejsca i splótłszy ręce na piersiach, cofała się małymi kroczkami pod ścianę. Kmita rzucał nerwowe spojrzenia to na

Bulę, to na Droźnego, ale widać było, że po tym, czego dowiedział się o swojej zaufanej pracownicy, nic nie jest w stanie zaabsorbować naprawdę jego uwagi. Jedyne Wolski zachował olimpijski spokój.

Siedział pochylony, opierając się obydwoma ramionami na płycie stolika, i od czasu do czasu zerkał obojętnie na Droźnego. Kiedy Bula powiedział o znalezieniu odcisków palców, Wolski uniósł nieznacznie brwi i spojrzął na Żuławską. Można to było odczytać jako wyraz uznania dla sprawności prowadzących śledztwo.

- Panie Drożny - zabrzmiał stanowczy głos Buli - muszę pana spytać, kogo wpuścił pan do tej willi, w nocy, jedenastego listopada? Kto zamordował inżyniera Zdzisława Żuławskiego?

Droźny załamał się nagle. Zaczerpnął gwałtownie powietrza, objął twarz dłońmi i osunął się na krzesło. Chwilę panowało w hallu absolutne, pełne napięcia, milczenie.

Gdzieś w drugim końcu wsi zaszczekały psy.

- Kiedy popełniono morderstwo, grałem z panem w szachy - odezwał się wreszcie Droźny. - Mogę odpowiadać za wiele rzeczy, ale tej zbrodni nie udowodni mi żaden sąd na świecie. Nie powiem ani słowa więcej przed rozmową z moim adwokatem...

Bula wyprostował się i skinął głową. - Do tego ma pan prawo - oświadczył spokojnie. - Muszę jednak uprzedzić, że wskazanie współlnika mogłoby wpłynąć na złagodzenie wyroku.

Droźny pokręcił przecząco głową.

- Jak pan chce - rzucił Bula. Wypowiedział formułę aresztowania, następnie skinął na Czernika, który podszedł do Droźnego, przeciągnął dłońmi po kieszeniach jego marynarki i spodni, po czym nałożył mu kajdanki.

- Tak - Bula ponownie dał znak Czernikowi, by wrócił na swoje miejsce przy drzwiach - a więc sytuacja się komplikuje.

Z początku wyglądało na to, że mamy do czynienia z szablonem. Pusty pensjonacik, kilka osób, jedna z nich zostaje zamordowana. Oczywiście, szukamy zbrodniarza wśród obecnych, wypowiadając sakramentalne słowa: „panowie, jeden z nas jest mordercą”... Mieliśmy wtedy czystą grę - cztery asy. Potem okazało się, że jednego brakuje. Zmieniliśmy wtedy szablon, przedstawiając go na schemat „piątego asa”. Żuławskiego zamordował ktoś z zewnątrz, ktoś, kto nie był brany pod uwagę w dotychczasowym śledztwie i prawdopodobnie w ogóle nie dał się nam poznać. Ta kusząca hipoteza także niestety nie oparła się próbie faktów. Po prostu ktoś z zewnątrz nie mógł przewidzieć, że będę siedział w hallu całą niemal noc, który pokój otrzyma Żuławski... - Bula rzucił spojrzenie Drożnemu.

- Wprawdzie podjęto próbę przekonania nas o tym, że morderca nie musiał wiedzieć, gdzie kto będzie spał, oliwiąc zawiasy w szafie odgradzającej jeden pokój od drugiego, ale tym razem był to chybiony wybuch fantazji mordercy. Dobrym pomysłem było natomiast przewrócenie do góry nogami mojego pokoju. To musiało skierować podejrzenia na kogoś, kto znajdował się wewnątrz domu. Ale podrzucenie rzeczy skradzionych u Żuławskich przeczyło temu. Ktoś musiał je mieć cały czas przy sobie... siedząc z nami, rozmawiając, grając w karty. Ryzyko było duże i zbyteczne, zważywszy, że jedynym celem sprawców było pogmatwanie poszlak i śladów - aż do absurdu. Trzeba przyznać, że realizowali ten zamysł konsekwentnie. Ale przedobrzyli. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że wszystkie te anonimy, chusteczki, wytarte parapety, podrzucone dolary, naoliwione zamki i zawiasy - że to wszystko służy jedynie jako zasłona. Kamuflaż. Szczerze mówiąc, zawdzięczam tę myśl jednemu z moich najzdolniejszych pracowników, sierżantowi Czernikowi... - Wymieniony nie wierzył własnym uszom. Niemożliwe stało się faktem - Bula go publicznie pochwalił. Grono co prawda nie składało



się z ludzi, na których Czernikowi zależałoby najbardziej, ale przecież była wśród nich... Podniósł nieco głowę i rzucił krótkie spojrzenie Żuławskiej. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że dostrzega na jej twarzy coś na kształt uśmiechu. „Bzdura” - pomyślał gniewnie i zaczął z uwagą słuchać słów kapitana.

- Zacząłem się wtedy zastanawiać, na co to wszystko potrzebne było mordercy. Czemu miało służyć. Czy należało to przypisać jego brawurze, chęci popisania się pewnością siebie? Być może te elementy także odegrały pewną rolę. Powiedziałem, że mamy do czynienia z człowiekiem obdarzonym nieprzeciętną fantazją... Ale przewodnią myślą, przyświecającą mordercy Żuławskiego, było co innego. Ta zbrodnia była bowiem niesłychanie prosta. Była tak prosta, że samo zestawienie faktów musiało wskazać sprawcę. Nie miałyby najmniejszych szans. Dlatego po prostu musiał stworzyć sytuację, która powiększyłaby grono podejrzanych, a jego samego usunęła w cień. Pomysł zgromadzenia przypadkowych ludzi o niezupełnie czystym sumieniu i zabicia jednego z nich; tak żeby podejrzenie padło na pozostałych, nie jest czymś nowym w kryminalistyce. Ale jego realizacja, rozmach, z jakim został wcielony w czyn, przekracza wszystko, z czym zdarzyło mi się dotychczas zetknąć. Tylko że nie ma zbrodni doskonałych, tak jak nie ma perpetuum mobile.

Bula, który chodził w czasie tej przemowy po pokoju z założonymi na plecach rękami, stanął nagle. Obrzucił przeciągłym spojrzeniem Droźnego, siedzącego ze zwieszoną głową pod ścianą, zerknął na jego skute ręce, spoczywające na kolanach, następnie przeniósł wzrok na Zawodzką. Kobieta zamrugała gwałtownie powiekami i ścisnęła nerwowo palce.

- Niech pan powie wreszcie, kto zabił Żuławskiego - odezwał się podnieconym głosem Kmita.

- Wolalbym pozostawić to jemu samemu... - odpowiedział

po chwili Bula: - Tak byłoby lepiej... przede wszystkim dla niego. - Zapadło milczenie. Kapitan zaciągnął się głęboko giewontem i westchnął.

- Trudno - odezwał się wreszcie - nie mogę czekać w nieskończoność. Zacznę - podjął przerwana wędrówkę po pokoju - jeszcze raz od początku. Jedną z lepszych metod śledczych jest metoda eliminacji. Otóż ja i Drożny odpadamy. W czasie kiedy zabito Żuławskiego, byliśmy z całą pewnością tutaj, w hallu. Wyłączamy też panią Zawodzką z przyczyn, które już podałem. Najpoważniejsza poszlaka przeciw niej - ów list - został, jak wiemy, podrzucony przez Drożnego. Pozostają na placu trzy osoby...

W tym momencie siedzący dotychczas spokojnie Wolski uniósł wysoko brwi i spojrzał na kapitana z wyrzutem. - Pan się chyba przejęczył, panie kapitanie - powiedział uprzejmym tonem - pozostali tylko pani Żuławska i pan Kmita...

- Proszę mi teraz nie przerywać - burknął Bula. - Otóż, jak powiedziałem - podjął poprzednim tonem - mamy na placu trzy osoby. Nasuwa się od razu pytanie: która z nich mogła, być zainteresowana w pozbyciu się Żuławskiego? Odpowiedź brzmi: każda. Pan Kmita. Wszedł w spółkę, dostał pieniądze, postanowił je sobie przywłaszczyć, mordując ich właściciela i wykradając pokwitowanie. Jego laborantka jedzie załatwiać nielegalne zakupy, które mogą być użyte do rozbudowy firmy „Laura”. Bo przecież fabryczka w Kielcach mogłaby z powodzeniem stać się jej utajoną filią. Pan Kmita mógł zabić. Jednak jedna rzecz się nie zgadzała. Sprawca wiedział o obecności przedstawiciela milicji wśród osób nocujących jedenastego listopada w „Janinie”. Sam go tam przecież ściągnął. Otóż Kmita z wszelką pewnością postarałby się użyć tego kogoś - to znaczy mnie - w charakterze parawanu. Dokładnie tak postąpił Drożny. A więc nie Kmita.

- Skąd, do diabła, mogła się tam wziąć moja chusteczka?!  
- wykrzyknął rozgrzeszony w ten sposób mężczyzna, z ulgą w

głosie.

- Zapomina pan - odparł Bula - że ten człowiek śledził każdy wasz krok. Nietrudno było zauważyć, jakie pan ma chusteczki do nosa. Wystarczyło, że otarł pan sobie kiedyś pot z twarzy.

Jakby na potwierdzenie tych słów Kmita wyciągnął z kieszeni chustkę i kilkakrotnie przetarł nią czoło. W pewnym momencie spostrzegł, że kapitan przygląda mu się dziwnym wzrokiem, znieruchomiał, spojrział powoli na rękę, dzierzącą przedmiot, który omal nie odegrał w jego życiu tak feralnej roli, i w pierwszym odruchu uśmiechnął się szeroko. Natychmiast jednak spoważniał, schował chustkę i przeprosił kapitana.

- Nie szkodzi - mruknął Bula. - A więc - podjął przerwany wątek - Kmitę mogłem na razie wyeliminować ze śledztwa. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o pani Żuławskiej...

W tym momencie Czernik poruszył się niespokojnie. Wymieniona przez kapitana wdowa po ofierze morderstwa, którego sprawca miał zostać za chwilę ujawniony, pobladła lekko i zacisnęła wargi. Poza tym, niedostrzegalnym niemal, przejawem wewnętrznego napięcia zachowała idealny spokój. Miała dziś znowu tę granatową sukienkę, którą Czernik zapamiętał z pierwszej wizyty w jej domu. W słonecznych refleksach, padających z okien zachodniego pokoju, jej włosy połyskiwały jak posypane złocistym proszkiem.

- Małżeństwo Żuławskich nie należało do najlepszych - mówił Bula. - W takich sytuacjach zdarza się, że ludzie wpadają na pomysł radykalnego pozbycia się żony lub męża. Zwłaszcza jeśli po tym mężu pozostaje tłusta scheda. Żuławski był człowiekiem bogatym, bardzo bogatym, jak na nasze warunki. Do trzeciego września. Od tego dnia jego konto w banku PKO zaczęło się gwałtownie kurczyć. Z blisko miliona - pozostało do dnia morderstwa kilka tysięcy złotych. I to jest wszystko, co odziedziczy po mężu pani Żuławska.

Oczywiście, pozostaje jeszcze willa i samochód. Ludzie mordują czasem dla znacznie skromniejszych zysków. Poza tym pani Żuławska mogła nie wiedzieć o tym, że mąż podjął z banku te pieniądze. Zabijając go, mogła liczyć na milion. Wiedziała o tym, że Żuławski pojedzie tego dnia pociągiem lub autobusem. Nigdy bowiem nie jeździł po deszczu swoim samochodem. Jeśli ona zaaranżowała tę historię z anonimami, to oczywiście wiedziała, dokąd udał się jej mąż tamtego wieczoru. Wynajęła znajomego lub obcego chuligana, żeby napadł na naszego funkcjonariusza, sama znalazła się natychmiast w pobliżu, pośpieszyła ofierze napadu z pomocą i w ten prosty sposób zdobyła przekonujące alibi. Ale dwadzieścia minut po dwunastej była już wolna. Wsiadła więc do zaparkowanego w pobliżu samochodu, pojechała do Osady, zamordowała męża i wróciła tej samej nocy bez najmniejszych kłopotów. Sprawdziliśmy to, odjeżdżając z miejsca, w którym pani Żuławska ratowała wtedy napadniętego. Rzecz była technicznie jak najbardziej możliwa. Tak więc druga osoba, której śmierć Żuławskiego przyniosła konkretną korzyść, znalazła się na liście podejrzanych na pierwszym miejscu. Ale... - Tu kapitan posłał Żuławskiej przelotne spojrzenie i uśmiechnął się. Kobieta, tak bezlitośnie przez niego obwiniana, przyjęła całą tę tyradę z niezwykłym spokojem. Raz tylko, kiedy Bula mówił o wynajęciu chuligana, jej ramiona lekko drgnęły. Teraz podniosła powoli głowę i utkwiała w kapitanie wzrok, w którym odmalowało się oczekiwanie.

- Ale... - powtórzył Bula - Żuławskiego zabił ktoś inny. Dlaczego? Bo ten ktoś był tutaj już wtedy, kiedy siedzieliśmy wszyscy zgromadzeni w hallu. Kiedy graliśmy w karty. Kiedy zajmowaliśmy pokoje, które wyznaczyła nam gospodyni. Zresztą, wyznaczyła to nie jest najszcześniejsze słowo. Tak się złożyło, że jedyny pokój nie posiadający wyjścia do sieni zajął pan Kmita. W momencie, w którym podskoczył za gospody-

nią, kiedy ta weszła z pościelą, Drożnemu spadł kamień z serca. Bo przecież cd pierwszej chwili jego największą troską było to, żeby Żuławski dostał pokój na górze. Na górze, gdzie można wejść cicho i dyskretnie, wspinając się bezpośrednio z ogrodu po dachu werandy. Okno w korytarzu na piętrze jest zamknięte na zwykły haczyk. Można go podważyć kawałkiem drutu, scyzorykiem, byle czym, w ciągu kilku sekund. Tak, proszę państwa, tak zginął inżynier Żuławski. Morderca wszedł najzwyczajniej przez drzwi sąsiedniego pokoju, kiedy jego ofiara już spała. Drzwi nie były zamknięte na klucz...

- Skądże pan to może wiedzieć?! - nie wytrzymał znowu Kmita.

- Stać, że po prostu nie mogło być inaczej. Wszystkie te oliwione zamki, zawiasy, szafy z otwieranymi ściankami - to nici wiodące na bezdroża. Poza jedną. Tą, która prowadzi przez szafę do sąsiedniego pokoju. Pokoju, do którego można było wejść z korytarza dosłownie w każdej chwili. Począwszy od momentu, w którym Drożny budząc Żuławskiego udowodnił mi, że ten żył jeszcze, kiedy siadaliśmy do gry w szachy i... wskazał mordercy pokój, gdzie śpi ofiara. Morderca wszedł, przysunął krzesło do łóżka i...

- Na miłość boską, niech pan przestanie... - Żuławska ścisnęła dłońmi skronie. Jej szept zabrzmiał tragicznie, była w nim obawa i prośba. Czernikowi powędrowały mrówki po plecach.

- Już kończę - pośpieszył z odpowiedzią Bula - otóż nie wiem, czy morderca zrobił to od razu, czy też przedstawił się swojej ofierze, oczywiście, jako człowiek, który zaprosił go tutaj na rozmowę, ów „Robin Hood”, ale będę i to wiedział... niebawem. A więc on był tutaj, zanim zasiedliśmy z Drożnym nad szachami. A w tym czasie pani Żuławska była jeszcze w mieście. W ciągu dziesięciu minut nie mogłaby tu przecież nawet przylecieć, a cóż dopiero przyjechać, choćby najszybszym samochodem. Tak, pani Elżbieto - Bula pierwszy raz

przemówił do Żuławskiej po imieniu - sierżantowi ma pani jednak bardzo dużo do zawdzięczenia. Gdyby nie jego głowa... myślę, oczywiście, o przedmiocie, który spotkał się z kijem napastnika...

Czernik przeszył kapitana wściekłym spojrzeniem. Żuławska uśmiechnęła się blado i pokręciła głową. Ten odruch nie uszedł uwagi Buli. Przeszedł jednak nad nim do porządku, podejmując swoją tyradę.

- Wiemy więc, że Drożny przekazał współnikowi wiadomość o rozmieszczeniu lokatorów „Janiny” najpóźniej o dwunastej trzydzieści. Wiemy także więcej, a mianowicie, kiedy to było. Pani Zawodzka - Bula podszedł kilka kroków w stronę gospodyni - z werandy, dokąd pani wyszła, aby zgasić światło, wywabił panią jakiś szmer, prawda? Jak to brzmiało?

- Początkowo - odpowiedziała po chwili gospodyni - wydawało mi się, że ktoś jest w ogrodzie. Słyszałam jakby chrzęst... ścieżki są wysypane żwirem. Ale potem usłyszałam to drugi raz i wtedy wiedziałam już, że to w hallu. Wróciłam, żeby zobaczyć, co się dzieje... - i zobaczyła pani Drożnego - dokończył kapitan. - Ale słyszała pani dobrze - i za pierwszym, i za drugim razem. Wtedy to były naprawdę kroki, kroki mordercy. Był tam za ścianą, kilka metrów obok pani...

Zawodzka zbladła raptownie i przycisnęła ręce do piersi. Zdawało się, że zemdleje. Żuławska przechyliła się odruchowo, jakby chcąc jej pospieszyć z pomocą. Na szczęście Bula szybko zaczął mówić dalej:

- Wtedy właśnie Drożny podał swojemu współnikowi kartkę, zawierającą potrzebne mu informacje. Zaraz potem tamten zaczął działać. Wspiął się na daszek werandy i obserwował korytarz. Czekał. Niebawem w jego polu widzenia pojawił się Drożny. Poszedł na górę nie po butelczynę. Dał znak mordercy. Że może zacząć działać.

- Niech cię szlag trafi - odezwał się cichym, przenikliwym głosem Drożny. - Życzę ci, żebyś nie dożył jutrzejszego dnia...

ty stary hyclu, ty...

- Dosyć! - krzyknął Czernik. - Jeszcze słowo, a...

- Zostawcie, sierzancie - powiedział spokojnie Bula. - Nie można się dziwić jego rozgoryczeniu...

- Panie kapitanie - powiedziała nagle Żuławska - czy nie można by jakoś skrócić tego... tej sceny? Rozboliła mnie bardzo głowa... nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza. Chodziło, zdaje się, o eliminację. Tymczasem wyeliminował pan już wszystkich, którzy mogli mieć powody do zabicia mojego męża. Chciałabym w końcu wiedzieć, dlaczego... dlaczego tak się stało i kto to zrobił?

- Myli się pani - odparł powoli Bula - został ktoś, kogo w pierwszej fazie śledztwa w ogóle nie brałem pod uwagę. A jednak wszystko, co mówiłem o poszlakach dotyczących Kmity i pani, odnosi się także do tego człowieka... Było to rozwiązanie najprostsze. Tak proste, jak motyw tej zbrodni. A mówiłem już, że motywem były pieniądze. Blisko milion złotych skradziono z konta pani męża.

Nastąpiło milczenie. Żuławska powoli odwróciła głowę i utkwiała wzrok w twarzy Wolskiego. Kmita patrzył chwilę na kapitana, nic nie rozumiejąc, następnie jego oczy rozszerzyły się raptownie.

- Był pewien człowiek - zaczął półgłosem Bula - który uważał, że jego wrodzone zdolności, inteligencja, fantazja, ambicja, że te najpiękniejsze ludzkie cechy, którymi obdarzyła go natura, marnują się karygodnie za biurkiem, przy którym dzień po dniu zarabiał na utrzymanie. Roił śmiałe plany, chciał zapewne podróżować, może spróbować zająć się sztuką. Był czytany i wykształcony, nie posiadał wprawdzie gruntownej wiedzy, ale i tak odbijał znacznie od koleżanek i kolegów ze swojego środowiska. Na co dzień stykał się z milionami złotych i ludźmi, którzy te miliony posiadali. Nie byli to ludzie najszlachetniejsi, ani też, co tu ukrywać, najciekawszy. Znaczna część spośród nich miała na

sumieniu różne rzeczy. Nasz człowiek doszedł wkrótce do wniosku, że jest bardziej niż inni predestynowany do zapewnienia sobie swobody, jaką dają pieniądze. Że zaś zdobycie ich pracą lub jakimkolwiek legalnym sposobem wydawało mu się przedsięwzięciem długim i niepewnym, postanowił popełnić zbrodnię. Bo, niestety, natura oprócz pięknych cech, o Których mówiłem, nie poskąpiła mu także brzydkich skłonności. Powiedzmy, że był to zbójca, strzeżący sezamu, do którego znosili łupy wszyscy członkowie bandy.

- Myślałem, że chodzi panu o kasjera - odezwał się nagle beznamiętnym tonem Wolski. - Wszyscy, którzy tutaj jesteśmy, wysłuchaliśmy już potężnej porcji zarzutów i oskarżeń. Przyznam się, że nie bardzo wiedziałem, dlaczego pan mnie tutaj ściągnął. Teraz rozumiem. Przeznaczoną dla mnie dawkę zachował pan na koniec. Proszę, słucham. Muszę tylko pana uprzedzić, że jeżeli nie udowodni mi pan podpalenia szpitala, zatrucia studni czy też...

- Morderstwa... - przerwał Bula.

- Morderstwa - podjął spokojnie Wolski - to zaskarżę pana o zniesławienie. Jestem kasjerem i nie mogę sobie pozwolić na utratę zaufania moich zwierzchników ani klientów. Ponieważ zaś nie udowodni mi pan tego wszystkiego - z tego prostego powodu, że żadnej zbrodni nie popełniłem, więc nie wiem, jak będzie...

- Niech się pan nie niepokoi - odparł kapitan - dam sobie radę. A propos, czy nie uważacie państwo, jak bardzo przezwisko „Robin Hood” odpowiada charakterowi, jaki przed chwilą wam przedstawiłem? Ciekawe, prawda? Nasz „Robin Hood” również postanowił grabić bogaczy, którzy zdobywali majątek nie najczystsza drogą... przykro mi, pani Elżbieto - Bula zwrócił się do Żuławskiej - o zmarłych nie należy źle mówić, ale jako przedstawiciel prawa muszę pani zwrócić uwagę, że mąż miał na sumieniu niemało malwersacji i nielegalnych transakcji różnego rodzaju, z przemysłem i



pospolitym oszustwem włącznie. W tej sytuacji musieliśmy głębiej sięgnąć do jego przeszłości... Trudno mi naturalnie powiedzieć, czy pani o tym wiedziała, ale obawiam się, że jeżeli nawet w wyniku naszego śledztwa morderca będzie musiał oddać zagrabione pieniądze, to pani niewiele z tego przypadnie.

- Nie wiedziałam - powiedziała ciche Żuławska. - W każdym razie początkowo. Później zaczęłam się czegoś domyślać... na pieniądzach mi nie zależy...

- Tak - uciął Bula - wróćmy więc do naszego dozorey sezamu... a raczej do naszego kasjera, jak chce pan Wolski.

W tym momencie Wolski wstał i przeciągnął się leniwie. Czernik śledził każdy jego ruch, nie zdejmując ręki z kabury. Wiedział już wszystko. Wiedział, dlaczego kapitan nie kazał wcześniej aresztować tego człowieka. Rzeczywiście, żaden sąd, chociażby był przekonany o jego winie, nie byłby go w stanie skazać. Mieli poszlaki, nie mieli dowodów.

- Zasiedziałem się - mruknął Wolski podchodząc powoli do okna. Odwrócił się i usiadł na parapecie, z wyprostowanymi sztywno nogami.

- Otóż ten kasjer - mówił dalej Bula, nie zwracając uwagi na zachowanie człowieka, którego oskarżał o morderstwo - wpadł pewnego dnia na genialny w swojej prostocie pomysł. Mianowicie sfalszował upoważnienie jednego ze swoich klientów. Znając na wylot machinę operacyjną banku, wszystkie przepisy prawne i porządkowe, będąc starszym kasjerem, a więc równocześnie pośrednikiem między bankiem a klientami i kontrolerem kas, podrobił wszystkie potrzebne zaświadczenia i dokumenty, zaopatrując je w pieczęcie biura radcy prawnego oraz inne niezbędne stemple i podpisy. Pomysł nie był zresztą całkowicie oryginalny, bowiem Żuławski istotnie wystawił kiedyś kasjerowi swojego banku, temu właśnie kasjerowi, pełnomocnictwo. Było to w lipcu tego roku. Z tym, że tamto pełnomocnictwo było jednorazowe. Kopia jest do

dzisiaj w aktach banku. Ono właśnie nasunęło mu ten sposób zdobycia pieniędzy. Dalej plan był prosty. Ukraść pieniądze, wysłać Żuławskiemu do domu sfalszowane wyciągi z jego konta - nie było to trudne, bo te dokumenty i tak przechodziły przez jego ręce, następnie, ogołociwszy konto, pozbyć się jego właściciela metodą wymyśloną, jeśli się nie mylę, przez Kaina... Oczywiście, pociągało to za sobą pewne trudy i pewne ryzyko. Nie można było założyć, że Żuławski nie przyjdzie do banku i nie zażąda jakiejś dużej wypłaty. Toteż morderstwo nastąpiło w dwa dni po ostatnim podjęciu pieniędzy przez kasjera. Zresztą, musiał się śpieszyć. Proszę zważyć, że plan zakładał jego stałą obecność w banku. Przecież przeoczenie choćby jednego z wysyłanych Żuławskiemu sprawozdań musiało skończyć się fatalnie dla naszego „Robin Hooda”. Musiał być zawsze, kiedy Żuławski przychodził do banku, żeby nie dopuścić do rozmowy między nim a którymś z kolegów. To nie przypadek, że pan Wolski zrezygnował w tym roku z urlopu, zaplanowanego uprzednio na sierpień. Przyszedł w końcu wrzesień, a wraz z nim zarządzenie, zabraniające pracownikom bankowym przyjmowania pełnomocnictw klientów. Okazało się bowiem, że nasz kasjer miał prekursora. Pewien jego starszy kolega z Gniezna wpadł na podobny pomysł, ba, lepszy, bo bez uciekania się do morderstwa. Po prostu stworzył fikcyjne przedsiębiorstwo, mianował się jego pełnomocnikiem, przyjął a raczej potwierdził milionowe, fikcyjne oczywiście, wkłady, po czym je po prostu podjął. Wszystko było w największym porządku... pieczęcie, podpisy, akta prawne. Tamten pan znajduje się już za kratkami. Powiedziałem, że nic istnieje przestępstwo doskonałe... Ale wróćmy do naszego bohatera. Kiedy ukazało się wspomniane zarządzenie, na Żuławskiego zapadł wyrok śmierci. Zresztą, wyrok zapadł wcześniej, wtedy, kiedy nasz kasjer przybrał przydomek „Robin Hooda” i zaczął wysłać listy do drugiego ze swoich klientów, Kmitę, i do swojego współnika, Droźnego.

Prawdę powiedziawszy, osoba kasjera Wolskiego przyszła mi na myśl, kiedy dowiedziałem się, że pani Zawodzka prowadziła dawniej dom wypoczynkowy pracowników bankowości. Z pewnością niektórzy dawni pensjonariusze przeszli do „Janiny”, pozostając wiernymi gośćmi jej nowej właścicielki. Wśród nich znalazł się ktoś, kto opowiedział „Robin Hoodowi” o cichym pensjonaciku i tak szczegółowo opisał jego zalety, że urzeczony nimi kasjer ten właśnie dom wybrał jako miejsce ostatniego aktu swojej rozgrywki. Były więc anonimy, wreszcie „zaproszenie” pod groźbą szantażu... i morderstwo. W tym samym dniu, w południe, któryś z tej dwójki włamał się do mieszkania Żuławskich, żeby usunąć fałszywe wycinki z konta, przysyłane z banku. Resztę już państwo znacie.

- Muszę przyznać, że to brzmi przekonująco - odezwał się uprzejmym tonem Wolski. - Szkoda wprost, że to tylko bajka... no, powiedzmy, hipoteza...

- A moja laborantka? - spytał Kmita. - Cóż ona z tym miała wspólnego?

- Pańska laborantka - wyjaśnił Bula, nie spuszczać już teraz wzroku z Wolskiego - puściła po prostu w obieg skradzione przez Wolskiego pieniądze. Kupiła maszyny i aparaturę chemiczną dla nowej wytwórni, której właścicielami mieli być: ona sama, Drożny, Zięba oraz, oczywiście, Wolski - przyszły milioner, podróżnik, ale i morderca.

Ostatnie słowa Buli zabrzmiały jak uderzenia młotem o stalową płytę. Wolski podniósł się powoli i wyprostował. Drożny siedział nadal bez ruchu, jak martwy, z wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Od początku czułem - dodał po chwili kapitan - że rozwiązania trzeba szukać w mieszkaniu państwa Żuławskich. Nie mogłem początkowo zdać sobie sprawy z tego, czego szukam. Ale w końcu zrozumiałem, że chodzi nie o coś, co tam było, ale o coś, czego nie było, mimo że być powinno.

Sprawozdania bankowe. Takich rzeczy się nie wyrzuca, prawda, panie Wolski? Popęłnił pan jednak kilka fatalnych błędów. Trzeba było podrzucić prawdziwe sprawozdania w miejsce zabranych, fałszywych... Rozumiem, że pan się spieszył, ale...

W ułamku sekundy rozległ się brzęk szkła, w oknie mignął cień i zanim ktokolwiek z obecnych zorientował się, co zaszło, Wolski był już w ogrodzie. Równocześnie Drożny rzucił się na podłogę i zaczął głośno krzyczeć. Czernik, który początkowo skoczył z pistoletem do okna, zatrzymał się i huknął na wijącego się w udanych konwulsjach mężczyznę. Natomiast kapitan Bula z największym spokojem wrócił na swoje miejsce na płycie biurka i sięgnął po papierosa.

- Trzeba go łapać! - wykrzyknął Kmita, rzucając się w stronę okna.

- Nie trzeba... - uśmiechnął się kapitan Bula. - Zaraz sam wróci. No, może niezupełnie sam...

Nie upłynęło piętnaście minut, a Wolski istotnie znalazł się z powrotem w gronie, które tak nagle i nieuprzejmie opuścił. Szedł spokojnie, trzymając przed sobą ręce, na których pobłyskiwały kajdanki. Podeszedł do Bula na odległość dwóch kroków i powiedział opanowanym głosem:

- Zachowałem się jak smarkacz, prawda?

Bula skinął potakująco głową.

- Gdybym nie był uciekał... - ciągnął kasjer - to wszystko były poszlaki... Nie potrafiłby pan tego udowodnić.

- No cóż - odparł Bula, wypuszczając kłęby dymu - muszę przyznać, że miałbym pewne trudności. Ale proszę nie zapominać, że już wczoraj wpadł pan w moją pułapkę. Tylko panu mówiłem, że Żuławska znalazła jakieś listy z banku do męża. Tylko pan mógł być zainteresowany zdobyciem tych listów... za wszelką cenę. To było tak ważne, że nie zawahał się pan zaryzykować drugiego włamania do willi na Wiśnio-

wej. Przyszedł pan przebrany. Inaczej rzecz skończyłaby się już wczoraj. Tak się złożyło, że ani ja, ani drugi funkcjonariusz, który tam na pana czekał, nie widzieliśmy twarzy mężczyzny, wchodzącego do ogrodu. Ale i tak uratował pana wczoraj przypadek, niespodziewane przyście Cieślakowej. Jak pan widzi, nie na długo...

- Oczywiście, pani Żuławska nie znalazła żadnych listów? - spytał Wolski.

- Oczywiście - przyznał spokojnie Bula.

- Gdybym teraz zachował spokój...

- Niech pan sobie nie robi wyrzutów, Wolski. Złapalibyśmy pana tak czy owak. Któryś z pana współników wygadałby się w końcu, choćby niechący. A poza tym, widzi pan, ja założyłem, że nie wytrzyma pan nerwowo tej konferencji, którą tutaj zainscenizowałem. Była to rzeczywiście strasznie długa konferencja. W życiu się tyle nie nagadałem. Bardzo państwa przepraszam... No - Bula wstał i skinął na Czernika - myślę, że będziemy się musieli pożegnać...

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Wolski. - Gdyby ten idiota, Drożny, się nie wygadał... Na liście podrzuconym Zawodzkiej nie było żadnych odcisków, prawda? To był bluff?

- Zgadł pan. To był bluff No, czas na nas, panie Wolski...

- Widzisz, synu - mówił Bula, obserwując z zajęciem widniejące za szybą kiosku róże - do czego jest zdolna dusza poety, uwięziona w urzędniczej skorupie. Oczywiście, jeśli folguje przyrodzonym złym skłonnościom. A przecież biurokracja tak już wrosła w tego „Robin Hooda”, że kiedy zaprosiłem go na ten spektakl w Osadzie, mówiąc, że chcemy zgromadzić tam wszystkich, którzy odwiedzili wtedy willę Zawodzkiej, powiedział bez namysłu: „będę się musiał zwolnić”

- przyznając tym samym, że był tam owej feralnej nocy. Inaczej byłby się obruszył, zaprotestował, podkreślił, że go tam nie było... No cóż - Bula pchnął delikatnie sierżanta w stronę

kwiaciarki skaza zawodowa. Wystrzegaj się tego, synu, jak ognia. No, kupuj - dodał, nie zmieniając tonu.

- Kwiaty? - Czernik patrzył na niego wzrokiem, w którym zdumienie graniczyło niemal z lękiem.

- A z czym chcesz tam pójść? Z pietruszką?

- Dokąd mam iść?

- Jasne, że do Żuławskiej. Powinieneś ją przeprosić. Powiedziałem ci przecież: wystrzegaj się skaz zawodowych...

Po upływie pięciu minut kroczyli przez Rynek, oświetlony nowoczesnymi rtęciówkami, zawieszonymi jak gwiazdziste łańcuchy na wysokich stalowych słupach.

- Niesiesz to jak miotłę - zauważył Bula. Istotnie, płatki najdłuższej w bukiecie róży zostawiała na chodniku nieznaczną smugę.

- Chciałbym wiedzieć - odezwał się w odpowiedzi sierżant - kto mnie tak wtedy urządził. I dlaczego ona nie chciała nam tego powiedzieć...

- Ponieważ był to biedny chłopiec, z którym spędziła niemal całe dzieciństwo, na wysadzonym kocimi łbami podwórku. Ten chłopiec przeszedł zapalenie opon mózgowych. Jedyne, co mu pozostało z dawnych dni, to wspomnienie pięknej dziewczynki, prawdopodobnie jego pierwszej miłości... Myślę, że on także ją śledził, może wyobraził sobie, że powinien się nią opiekować. A że twoje zainteresowanie jego wybraną wydało mu się podejrzanym... to poradził sobie najlepiej, jak umiał. Był ponoć kiedyś najsilniejszym chłopakiem w dzielnicy.

Chwilę szli w milczeniu.

- Nie można tego tak zostawić - mruknął wreszcie Czernik.  
- Chłopcem powinien się ktoś zająć.

- Rozmawiałem z doktorem Kulskim - odrzekł Bula - Specjalnie zatrzymałem chłopca jeden dzień, żeby sprawdzić to wszystko, co opowiedziała mi Cieślakowa. Oczywiście,

chłopiec nigdy nie będzie całkiem normalny, ale może będzie mógł pracować. No, sierżancie - Bula stanął i wyciągnął rękę do Czernika - ja tu skręcam. Muszę ci powiedzieć; synu, że przelazłeś jakoś przez te dwa etapy. Fakt, że zabrałeś z biurka Żuławskiego ten świstek z literami „wyc...”, świadczy o tym, że mogą jeszcze być z ciebie ludzie. Jeżeli, oczywiście, uporasz się jakoś z tym, co czeka cię dzisiaj na Wiśniowej...

Można więc przyjąć, że akcja pod kryptonimem „Robin Hood” znalazła w pełni pomyślne rozwiązanie. Przestępcy czekają w celi na wyrok, pani Helenka piecze ciasto dla Żuławskiej, rada, że może ją wreszcie odwiedzać, nie narażając się na spotkanie z niemiłym jej „macherem”. Nie wiemy tylko, jak pani Elżbieta Żuławska przyjęła sierżanta Czernika. Ale nie wiemy też, po co właściwie do niej poszedł...

Cena 20.- zł

## **CZYTELNIK**

W takim samym wydaniu :

Raymond Chandler  
ŻEGNAJ, LALECZKO

Dymphna Cusack  
CZARNA BŁYSKAWICA

Zygmunt Zeydler-Zborowski  
ZBRODNIA  
NA CYRHLI TOPOROWEJ

